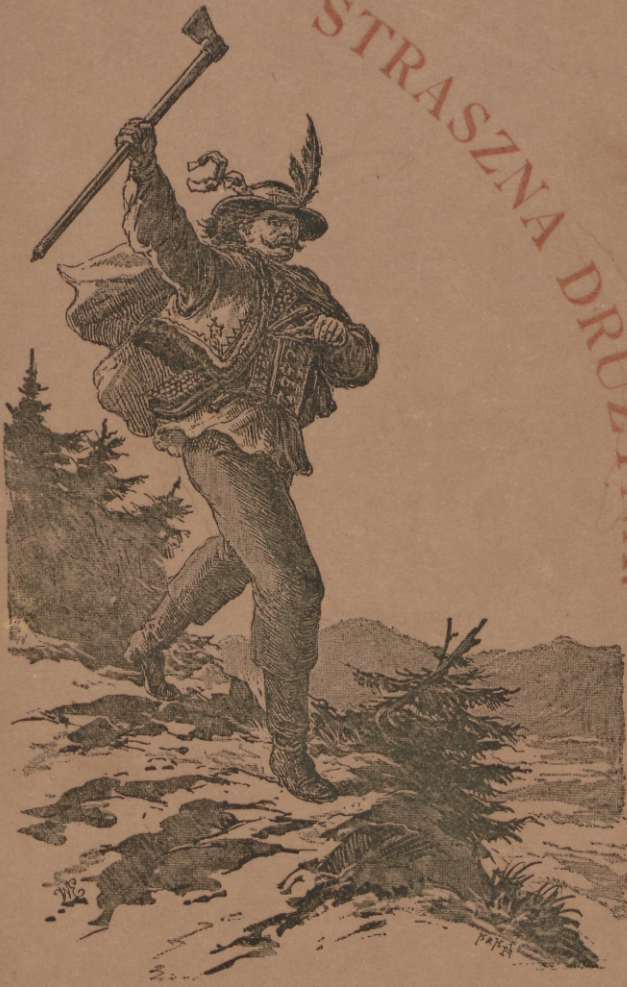


Juliusz Turczyński.

STRASZNA DRUŻYNA.



STRASZNA DRUŻYNA.

OBRAZ HUCULSZCZYŃNY

Z PRZESZŁEGO STULECIA.

PRZEZ

Juliusza Turowyńskiego.



KRAKÓW.

Nakładem Wydawn. „Nowej Reformy“.

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ

pod zarządem A. Szyjewskiego.

1891.

STRAZNA BRUZYA

ORLA HORNOSTVA

STRAZNA BRUZYA



251486

1911

STRAZNA BRUZYA
ORLA HORNOSTVA

I.

W mieście Bolechowie ¹⁾ ruch niezwykły: na ulicy jedynej, długiej, z obu stron otoczonej domkami, skupiają się... gwarzą ze sobą tajemniczo,— znów się rozchodzą i znowu skupiają... Kobiety załamują dłonie — niektóre w głos zawodzą... chłopcy i starzy dziadowie zaś radzą. Na wszystkich twarzach przestraszonych i trwoga.

Co młodsze i bardziej jare, parobczaki i odważniejsi z gazdów zdają się gotować, jakby do obrony... Lecz wnet opuszczają ręce — bezsilni... Poglądają strwożeni — ze strachu wybladli. Żydzi zaś, zziajani, pozamykali już, co mogli, — pomiędzy ich żonami rozgłośny jeszcze nie ustaje harmider. Trwoga dokoła bezsilna i zwątpienie.

Dochodzą bowiem raz, po raz głuche wieści, że straszny *watażka* z pod Czarnohory, sam Dowbosz, jest w okolicy ze swoją drużyną...

¹⁾ B o l e c h ó w, miasteczko podkarpackie w dzisiejszej wschodniej Galicyi.

Wyjść miał już z puszczy — z niedostępnych gór swoich i skał, i zagraża dziś równinom... Już miał popalić wsie podgórskie... gdzieindziej napadł na dwory, czeladź pańską wyrznął, wszystko zrównał z ziemią... Takie w różnych odstępach czasu nadchodzą wieści.

W Łopiance miał porwać popadję i zawlókł ją w niedostępną gór głębie. Mówią, że wszelki opór tutaj daremny, gdyż on ma taką siłę, iż świerki wyrywa wraz z korzeniami, a machając niemi, niby żerdką, dwunastu naraz obala chłopów. Sam król nieboszczyk, rodzic dzisiejszego, który łamał podkowy i karoce w pędzie za tylne zatrzymywał koła, nie poszedłby z nim w zapasy, — bo on ma siłę nadludzką; chcąc zaś miasto zapalić, nasypie jeno na dłoń swą prochu, zapali, dmuchnie i całe miasto stanie w płomieniach. Tak przecież mówią?... Chyba jeden król *Sobek* ¹⁾, z całym swoim rycerstwem, dałby mu może radę... ale ten dawno już w grobie.

Pod wieczór nieco się uspokoiło. Cisza nastąpiła w powietrzu. Na zachodzie krąg słońca — wielki dziś i bez blasku — zniża się powoli za

¹⁾ Tak w niektórych stronach lud nazywa Jana Sobieskiego.

posępne wzgórza, czernią borów pokryte... Zdała zbliżają się do niego małe chmurki z czerwonymi tu i ówdzie plamami — chciały rzucić się nań, zadławić kryjące się słońce.

Cały już obszar nieba z tej strony przechodzi w barwę prawie słowem niechwytaną — niby różową — niby szarawą — ale bardzo posępną... Nareszcie znikł opar ten różowy i wystąpiły podłużne, szerokie smugi, czerwone, to zielonawe...

W powietrzu osiadało coś ciężkiego i jakaś ponura dokoła rozlana była groza. Nawet liście na drzewach szeleściły dziś inaczej, a bydło i konie stawały się coraz niespokojniejszymi, psy zaś biegały, jakby gdzieś wietrzyły nadciągającą szarańczę krymską, lub łupieżce wołoskie. Turek już oddawna dał pokój ziemiom polskim, — atoli psy wiatr ciągle chwytają od strony gór a lasów.

Mieszkańcy, pogasiwszy nareszcie ognie po chatach, zmówili pacierz wieczorny i spać się pokładli z obawą; straży tylko nocnej nakazano bardziej dziś czuwać... Gdyby jakie niebezpieczeństwo groziło, miała wówczas pobudzić mieszkańców.

W górze wisały chmury, czarne, żałobne — i zdawały się zbliżać do ziemi. Lecz spokój był w powietrzu.

Przechodziły godziny nocne, jedne po drugich, jednostajnie ciche i jednostajnie spokojne. Mrok nocy, czarny, gęsty, nieprzeparty, całe objął miasto, — nie widać było domów, nie widać między domami drzew ni ogrodów.

Mijała godzina za godziną, gdy jednak żadne nie pokazywało się niebezpieczeństwo, to i straż. zmęczona czuwaniem, powoli usnęła. Sen objął całe miasto.

Po północy, na jednym końcu tej rozległej osady coś zajaśniało... zaraz jednak zgasło; — drugi raz mocniej zaświeciło, podrzuciwszy w górę, jakby snop promieni... Nareszcie strzecha na jednej z chat stanęła cała w ogniu, a na niebie pokazał się mały, okrągły odblask łuny.

Po chwili ruch nastął w tej stronie i przestraszeni mieszkańcy chaty gorejącej wraz z sąsiadami gasili z pośpiechem, mienie swoje wynosząc. Teraz i straż zaczęła nadbiegać... Ale to tylko widoczna była nieostrożność? Zapomniano zapewne zagasić ogień na ognisku, albo też może co się zajęło w zlepionym z *walków* kominiem?...

Ogień zdawał się już przygasać. Wiatr ruszył się teraz, lecz pędził w stronę, gdzie nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo. Aż tu nagle i na drugim końcu miasta pokazała się łuna... i wy-

buchł ogień czerwony, rzucając się na pobliskie strzechy, wiatrem gnany w podskokach. Teraz powstał ruch większy, gwałtowniejszy. Słychać już lament kobiet.

Uderzono w dzwony. Przeciągle zadźwięczała dzwonnica starej cerkwi i połowa zbudziła się miasta....

W trzeciej teraz stronie również wybuchł ogień, a choć go zaraz zagaszono, powstałe już na czwartym końcu płomienie zaczęły się rozszerzać z niepowstrzymaną szybkością..

I trzy ogromne na niebie zajaśniały łuny, coraz się bardziej rozszerzając, coraz gwałtowniej rozpierając czarne chmury.

Zgiełk. Trwoga nastąpiła ogólna. Jacyś widocznie złoczyńcy podpalili miasto, by kraść i rabować. *Drużyny* jednak tu żadnej nie widać, z hersztem, wiodącym setki uzbrojonych w broń sieczną i palną.

Tu i ówdzie wynoszono zaczadzone dymem dzieci, łypiące jeno oczyma; — gdzieindziej wydobywano popieczone, spalone na węgiel niemowlęta....

Ogień zlał się nareszcie w jedną masę — i stało się jasno, jak w dzień, w całym mieście.

Atoli prócz mieszkańców tutejszych nikogo nie było widać.... Nie wiedzieć, czy to jacy swojscy

złoczyńcy podpalili miasto na czterech rogach, by w ogólnem zamieszaniu kraść i rabować żydów?... czy może to zbiegli z siół bezpańscy poddani, dziś się włóczący? lub też jacy dworscy hultaje, co niedawno uciekli z turmy?...

Wzięto się zatem z całej siły do ratowania i wynoszenia rzeczy i bydła, a miano się na baczności, by co nie zginęło.

Pożar coraz się rozszerzał. Tu i tam ludzie się rzeźbiegali, a wydobywano już z pogorzeliśka trupy dzieci, i trupy bydła, a koni...

Rozpacz i lament okropny. Kobiety biegały z rozpuszczonym włosom — wyjące za niemowlętami. Chłopcy i co śmielsza młodzież wdrapywali się na dachy, lecz niejeden spadł z wałając się płatwą i belkami.

W żydowskiej połaci straszny rozlegał się wrzask i lament.

Niektórzy jęczeli, okropnie poparzeni, z osmoloną głową, z której włos spadł spopielały, — wpół nadzy, z wiszącymi jeszcze szmatami niedopalonego odzienia. Poranieni krzyčeli by ich kto zlał wodą i ulżył ich boleściom, lecz wody nie było... lubo wiszące w górze chmury, coraz gęściejsze i coraz bardziej zmięszane z kłębamii dyumu, zdawały się być deszczem brzemienne. Wiatr

teraz ruszył się gwałtowniejszy, i pojedyncze rzadka padały już krople...

Zdawało się, iż może deszcz lunie. Z nadzieją ostatnią patrzali do góry, oczekując go z upragnieniem: on tylko bowiem jeden jedyny mógłby tu może ugasić pożar.

Wiatr syczał i huczał — kłęby dymu leciały niepowstrzymane... Z niektórych, niedopalonych jeszcze chat, z gwałtownością wybuchały cisnące się masy czarnego dymu, ogień straszliwie trzeszczał i klaskał jakby z tysiąca biczów. W górze, jak gdyby walka toczyła się szatanów z upiormi — na zabój — coraz wścieklesza.

Wtem deszcz zaczął padać gęstymi kroplami... nadzieja budziła się niejaka... Lecz starsi kiwali tylko głowami. Deszcz lunął rześystszy, i zrobiło się tak ciemno, że nie można było nic koło siebie rozpoznać... Pożar mimo to nie zagasł, jeno się z mgłami deszczu i tumanami wichru pomieszał w jakąś całość chaotyczną, jeszcze sroższą, jeszcze straszliwszą — i zgiełk nastął teraz nie do opisania.

Tu i ówdzie, gdzie jaskrawy blask pożaru prze-dał obłok deszczowy, zmacony tumanami dymów, zdawało się, że widzieć można chwilami postacie jakieś — uwijające się — obce mieszkańcom miasta dzikie, a ruchliwe. Lecz teraz, w tumanach

tych i w blaskach czerwonych ognia. wszystko potworne przybierało kształty. . . . Sąsiedzi nie poznawali sąsiadów, dymem osmolonych, deszczem przemokłych — czerwonych krwawą łuną pożaru.

Gdy nieco burza ucichła i deszcz ustawał, a blaski pożaru górę wzięły nad szarym gąszczem dymu i deszczu, — widać było kupy rupieci z popalonych domostw — zmoczone, bez ładu leżące, koło których uwijały się osmolone i pokalczone chłopcy, lub drżące z przerażenia niewiasty, otoczone drobiazgiem przestraszonych dzieci.

Atoli jedna z młodszych dziewczek nie załamywała tu dłoni, nie zawodziła rozpaczliwie, jak inne, — lecz wyratowawszy swoich i mienie, pognąła czemprowadziej drugim pomagać, gdzie jeszcze można było co wydobyć z chat niedopalonych, zlewy bowiem deszczowe miejscami ogień nieco przytłumiły.

W osmalonej koszuli, z kosą rozwiązaną, zarumieniona od wysilen, usiłowała Mełanka wyratować, co było można, z mienia biednych sąsiadów... w tej chwili jednak spostrzegła, że człowiek jakiś, rosły i barczysty, wcale jej nieznany, ogniem okiem w nią się wpatruje, jakby się dziwił jej odwadze i śmiałości, — do ratowania

zaś wcale się nie ruszał. Spostrzegła to, lecz nie tracąc czasu, wnet się odwróciła, skoczywszy dalej do wywalenia wrót starych, których płomień jeszcze nie dogryzł, a za którymi dałoby się może co jeszcze wydobyć...

Po jakimś czasie, gdy znów na innym miejscu siliła się wyważyć drzwi, dla dziewczki, chociaż silnej, za ciężkie i oglądała się za jaką pomocą, widzi tego samego człowieka... lecz on jej teraz wydał się rośniejszym jeszcze i bardziej urodziwym, — a włos jego, czarny jak węgiel, spadał mu poniżej ramion. Przelekkła się, ale on się łagodniej uśmiechnął, patrząc na próżny wysiłek dziewczki, bliżej przystąpił i w jednej chwili silnym ramieniem wyważył drzwi ciężkie, dębowe, iż rozpekły we dwoje i powaliły się z łoskotem. Poczem natychmiast się oddalił. Dziewczyna stała jeszcze przerażona zjawiskiem niezwykłym i siłą, której podobnej nie widziała. Zdało się jej, że czuje jeszcze na sobie jego wzrok ognisty, do głębi świdrujący. Chwilę stała w zamyśleniu. Tumany jednak nadciągające dymów i mgły nocnej zakryły jej widok.

Zgiełk był teraz znowu coraz większym i coraz głośniejszym, — a przy uciszonym zupełnie wietrze i spokojniejszych blaskach, dało się widzieć niejedno, czego przed chwilą oko nie spo-

strzegło... Dlatego też zapobiegliwość gazdów stawała się coraz większą, ale niejednej rzeczy nie można było już odszukać... Znajdywano natomiast porozbijane w tym zamięcie nocnym skrzynie, dobrze okowane, których płomień nie przegryzł, a były niedawno wyrzucone z komór w całości; w innych znów brakowało schowanych koralu i przez dłuższy czas składanego grosiwa... Widozna była tu czyjaś zbrodnicza ręka.

Gdy tak szukano tego to owego, spostrzeżono na jednym miejscu człowieka, który unosił całą garść sznurów koralu, a kiedy doń inni przyskoczyli, w jednej chwili wyciągnął on z pod burki broń ukrytą i dawszy ognia znikł z przed oczu przestraszonych — i tylko krępa jego postać i kosmate oklicze zostało w pamięci przytomnych, którzy się mocno teraz zafrasowali... Na innych również miejscach pogorzeli przypominano sobie także, że w zgiełku nocnym widziano jakichś ludzi nikomu tu nieznanym, którzy udawali ratujących, — a właśnie tam najwięcej potem brakowało rzeczy. Gdzieindziej przyszło nawet i do bijatyki, — gdyż rabowano tam otwarcie, a byli nawet między tymi obcymi ludźmi tacy, co odgrazali się ostrem narzędziem, nie znajdującem się w mieście.

Ludność teraz poznała, kto to jest w miaste-

czku: straszliwe przerażenie wszystkich ogarnęło.

Zaczęto się też skupiać — trwożnie, bezładnie... Kobiety poczęły uciekać i kryć się, gdzie która mogła... lecz mężczyźni, doprowadzeni do rozpaczki, imali w ręce siekiery, to koły... niektórzy mieli kosy, cepy, nawet trzusała wrywane z pługów, — i próbowali tłumem opasać śmielszych i lepiej uzbrojonych rabusiów. Lecz tu na przeciagły świst przewódcy swojego, z różnych stron zbiegali się niepoznani dotychczas opryszki i wstępnym bojem, strzelając a kładąc trupem, unosząc zaś łupy swoje, uszli w oczach mieszkańców, którzy nie śmieli puścić się w po-goń za nimi.

Mieszkańcom Bolechowa pozostawiono dopalające się domy i kłębiące się dymy, które teraz czarnemi chmurami zawisły nad nieszczęśliwym miastem.

Znikąd nie było pomocy. Łupieżce miasto zapalili — a przecież król August siedzi dziś na tronie i zwołuje raz wraz sejmy dla dobra rze-czypospolitej... Żali wojsk nie mają, ni król, ni pany, ażeby wolę jednego ukrócić *watażki*? ...

Całą noc szalał jeszcze płomień; na niektórych miejscach tak było gorąco, że przystąpić do pożaru było niepodobna, ogień gryzł i szczypał

w lice, a wyratowane już rzeczy napowrót się od gorąca zajmowały... Ale dopiero kiedy dzień nastanie, będzie można poznać ogrom nieszczęścia! — —

Gdy nastał ranek, wychyliło się słońce, ogromne, bez blasku, jak gdyby z przestachu wybladłe, zastawszy inne dziś miasto, niżeli to, które tu wczoraj opuściło.

Tu i owdzie czerwieniły się jeszcze płomienie, z kupy zaś gruzów i popiołów kłębiły się dymy czarne, w górę uchodzące, albo jakby z rusznic starych, pękających, strzelały wydobywające się gdzieindziej na wierzch ognie; gdzieindziej zaś stały jeszcze rzędy domów, lecz bez strzech i dachów, zczerniałe, inne znów z niedopalonemi tylko słupy i belkami, podobne kościotrupom... Po różnych miejscach szukano jeszcze dzieci pogubionych, a znachodzono drobne w popiele szkielety. Owdzie znów zawiązywano rany, zadane pokaleczonym, lub silono się bez skutku trzeźwiec zaczadzonych; tam zaś znowu usiłowano przyprowadzić do życia tych, co śmielsi, porwali się na drużynę *watażki*, śmiało w oczy zagładającą śmierci.

Mełanki zaś, odważnej, ratującej innych, nie mogli się dziś rodzice doczekać... Mija jedna godzina, druga... a jej jak nie było tak nie ma... Na-

reszcie zaczęto pytać się innych, czyli gdzie nie widziano dziewczyny. Byli, co widzieli, jak ratowała to lub owo domostwo... lecz nie umiano powiedzieć, gdzieby się potem podziała. Matka już zaczęła ręce łamać, pewna, że dziewczynę za daleko śmiałość powiodła, że teraz leży ona przytłoczona gdzie ciężką jaką belką... I tu zaczęła zawodzić... Dziewczyny szukano w całym miasteczku, ale ni żywej, ni martwej, nie można było odnaleźć.

II.

Gdyby kto zajrzał w głębie borów, czarnych, nieschodzonych, gdyby zdołał przejść dzikie wądoły i jary, piętrzące się od usypisk, a bronione przez dzikiego zwierza i gorszych odeń ludzi, ujrzałby Mełankę, leżącą na posłaniu z igliwia świerkowego, spoczywającą snem znużenia, a dookoła niej ujrzałby rozłożone dzikie postacie, uzbrojone w topory i noże wychylające się z po za szerokich pasów, świecącemi nabijanych ćwiekami; inni znów byli bez pasów, w sirakach lub burkach, albo też w stroju jakimś dziwnym, jaskrawym... Jedni z nich ciągnęli z baryły czerpakiem, drudzy dogryzali placka owsianego, spieczonego w popiele. Na różniu zaś długim piekł się cały baran, gdzie dwóch ludzi smagławych, z włosem długim, w poświetle żaru błyszczącym, na kłęczkach koło ognia zajętych było robotą kuchenną.

Watażka ich, w przystrojonej w pióra orle i złote blaszki *kresani* ¹⁾, leżał pogrążony w zadu-

¹⁾ *Kresania*, kapelusze huculski, czarny, ubrany w pióra orla lub głuszcza.

mie, poglądając to na uśpioną dziewczynę, to chwilami na innych, którzy wtedy pod wpływem tego spojrzenia gwaru zaprzestawali. A kiedy się ruszył, zabłyszczał mu z pod burki pas szeroki, bogato, z węgierska srebrem nabijany. Wpatrzywszy się w urodziwą jego postać, możnaby poznać w nim onego sążnistego chłopa, który podczas pożaru Bolechowa, pomagając dziewczynie, drzwi ciężkie płonącego domu wyważył.

— *Ta* czy ona spi jeszcze? — odezwał się jeden z tłuszczy tej do drugiego.

— Ano nie widzisz, chłopie?... Ot, durne to-ci jeszcze!... Inna całowała by mu ręce... takiemu *watażce*, że ją tu sprowadził... Bo czy jej tu będzie dziś krzywda?... Albo on-ci nie ma sznurów koralu, *ta* pereł z bind żydowskich, żeby nie jedną ustroił *krasawicę*?...

— Ba... a dodaj no tych *żowtych* ¹⁾, na sznurki nawleczonych... co to, jak pomnisz, pozdzieraaliśmy z onych *mołodyc* Kosowskich?...

— Cha, cha! Toż to był wtedy *rejwach*!... Jak to zaczęło się prosić!... Nie pomogło!...

— *Mołodyc* nie robią nic przez połowę... O! patrz-no, chłopie, jak czarny Kuryło zagląda na spiacą!... No, no, niech się bestya ma na

¹⁾ Tak zwą huculi dukaty.

ostrożności, bo już *watażka* się chmurzy!... A ty wiesz, co to znaczy, gdy on brwi ściąga?...

— Ależ bo to, co krasawica, to wam już krasawica!... *harna*, by jodła...

— Nie mało bo z nią być i kłopotu!.. Nie mogę zabyć, jakeśmy ją porwali... *Ta*, czekaj, ano długo czekaj, chłopie, zanim-ci nie odeszła tam, gdzie więcej było dymów a mniej ludu tego plugawego... Cha! cha!... ale dobrze jej rudy ten *sobaka* zatkał gębę, kiedy krzycheć chciała... Cha! cha! cha! *Zazula* chwyciła-ci go pazurami i byłaby mu ślepie wydrapała...

— Gdyby ci nie było tyle wrzawy... na pozor — dodał inny — to byliby się wam Bolechowscy *obaczyli*... ale tak... już ona zakosztuje dzisiaj naszej strawy *mołodeckiej*... *taj* tylko!—

Ona tymczasem lekko dyszała... Może jej się w tej chwili śniło, że jest w chacie rodzinnej, na łonie mateńki, w pośrodku swoich.. albo może jeszcze myślą gdzie ugania między domami, wynosząc mienie sąsiadom. W tej chwili się ruszyła, zrobiwszy zamach taki ręką, jak gdyby coś chwycić usiłowała. Widoczny wysiłek poznać na jej twarzy...

Obudziła się. I *Watażka* w tej chwili się poruszył. Ona zaczęła przecierać oczy i rozglądać się; nareszcie wyjąkała:

— Oi!... ja tutaj... między nimi?...

I zaczęła ręce łamać.

— Alboż ci tu krzywda będzie? — rzekł jeden z drużyny. — *Watażka* nasz... patrz, jaki on bogaty!.. mierzy-ci garncem korale, jak bób grube... Ma-ci więcej, niż wasze tam... *kawalery* bolechowskie...

Ona w płacz uderzyła.

— Dać jej pokój! — odezwał się groźno *watażka* — Niechaj się wypłacze... będzie jej tak lepiej...

— *Tuć* i nawróci się -- dodał inny.

— Oj! ja się nie nawrócę... nigdy a nigdy!... Wróćcie mnie do moich!... *Pomyłujcie* a wróćcie!... Na co ja się wam tu przydam!...

— Ty silna, jak chłop — zaśmiał się russy Tymko, — będziesz z nami *mandrowała*... Damy ci rusznicę albo i szturmak do ręki... Dziewczyna, jako jodła, a boi się... pochodów...

— No, cicho tam! — zawołał *watażka* — Nie naigrawać się! — Potem dodał jeszcze: — Gdy przyjdzie do siebie, weźmie ona niejednego z was *za czuper*... *Ja* baczył, jak-ci tam ratowała...

— Oj, ja nieszczęśliwa!... *Pomyłujcie, pane* *mołodcze*!... Wy dobry... wy mnie odeszlecie do

moich?... Tam *maty* moja *tużą* za *dońką*... *Maty* myślą, że *donia* jej już nie żyje...

— No, nie bój się, *zoreńko*... Zobacysz jeszcze kiedy i *maty* swoją... Ja ci nie zrobię krzywdy... Ot, dajcie jej sobie wybrać jaki sznur koralu... ano co najdłuższy i najgrubszy...

— Jak to? *watażko*!... Bez podziału jeszcze?..

— Nie słyście, chłopie?... Spytasz ty mi się raz drugi!...

I zgrzytnął zębami, — a pytający zadrżał i łypnął oczyma. Musiał słuchać. Niektórzy spojrzeli na siebie — a rudy Kuryło rzekł do drugiego:

— Nie wiedzieć, co teraz tamta powie, *kosmacka*?...¹⁾.

— *Ta* co?... Czyż *watażka* nie *mołodec*?... Będzie wam przy jednej wisiał krasawicy?... Żali nie może mieć ich kilka?...

Tymczasem chciwym wzrokiem szukano koralu pośród kupy świeżo zrabowanych rzeczy, które leżały pod strażą dwóch dobrze uzbrojonych ludzi; pilnowali oni, aby nikt nie śmiał co pochwycić — jak dwa psy, zęby wyszczerzające na każdego, ktoby się zbliżył.

¹⁾ *Kosmacz*, obszerna wieś huculska w głębokich górach, nad Pistryńką, wpadającą do Prutu.

Gdy przyniesiono gruby sznur czerwonych jak krew koralu, a Dowbosz chciał je zawiesić na szyi dziewczyny, wzdrygnęła się ona, raptem odskoczywszy...

— *Ne chcuzu* — mruknęła — To z naszych ludzi! — Potem zwróciwszy się do *watażki*, zawołała: — *Pomyłujcie*, panie!

— No, no... ona nie chce, bo to z Bolechowskich. — Tu zaśmiał się: — Poczekaj, znajdą się inne...

— Oj, dajcie mi pokój!... Obejdę się bez nich... *Pomyłujcie!*...

— Durna dziewczyna! — zawołali młodcy — gdy dają, ona *wam* nie bierze.

— No, dać teraz spokój! — rzekł *watażka*, — skoro dziś nie chce... zostawić jej wolę!... Za trzy dni przyjmie, i będzie sama prosiła, aby najkrańsze... U nas się znajdują i bekieszki, *taj* kózuski popieliczne, jakie noszą wielkie panie... Ty bo będziesz u mnie panią...

— Oj, *pomyłujcie!* — Tu zaniósła się znowu od płaczu.

— No, no, dzisiaj ona-ci płacze... Jutro? *ta*, może jeszcze płakać będzie... ale pojutrze to już się będzie śmiała... To tak bywało zawsze!

I odszedł na bok nieco: wkrótce przyjdzie im dzielić się zdobyczą, każdemu dać trzeba część

jego... Mołodecy już chciwie poglądali... Ale *watażka* próbował jeszcze ich cierpliwości: trzyma drużynę swoją na uwięzi, jakby psy na sforach, na siebie wzajemnie zajadłe, kiedy widzą strawę przyniesioną...

Wrócił i położył się... Wkrótce zaś zawołał:

— Chce mi się pić!

Tu jary a krępy chłopak, z głową rusa, kędzierzawą, który ciągle patrzył ni to pies młody w oczy *watażce*, siląc się odgadnąć chęci jego, poskoczył czempzędzej do *mołodców*, by przynieść dzban z winem węgierskiem... Lecz jeden z nich zagadnął chłopca:

— *Ta*, nie słyszałeś, durny?... *Watażce* pić się chce.. Tu przedsię nie ma wody?..

— To *oni* chcą *wam* teraz wody?

— Alboż nie słyszałeś?... Ano prędzej chłopie! Bo *watażka* już niecierpliw...

Chłopak, jak stał, porwał w mig za konew, i dalej z nią spuścił się w dół do źródła... A *mołodcy* zaśmiali się, że zakpili sobie z młodego *żrebaka*; sami zaś czempzędzej podali *watażce* dzban pełny wina. *Watażka* wychylił nieco i skrzywił się dodawszy:

— Nie ma tam lepszego?..

Oni odeszli szukać... Tymczasem zaczerwieniony z pospiechu, zadyszany, nadbiegł z wodą To-

dosik, i z uśmiechem wnet podaje *watażce* napełnioną konew...

— A to co?

— Woda, *watażko*, co ją dopiero ze źródła naczepała...

— Czy *skazyw sia* ano co?..

I chwyciwszy za konew, wylał ją na łeb kędzierzawy ogłupiałego w tej chwili chłopca, który nie mógł pojąć, czemuby zawinił... Gdy mu woda strugami z włosów się lała, patrzył on tylko zdziwiony, jak się druhowie jego za boki biorą...

Wreszcie zmiarkował o co idzie, a chwyciwszy się za głowę, choć cały zmoczony, nie myślał się wcale suszyć, jeno przysiadł u nóg *watażki*, tłómacząc się, że to oni byli, co go tak *zdurzyli*...

— Nie gadać więcej o tem!... Już wzięłeś za swoje... *Mołodec* długo nie prawi... Żal ci głowy, taj *petaka* ¹⁾, żem cię trochę skropił?...

— *Ta*, gdzie bo mi żal!... Każecie... ja wam w mróz, choéby tam jaki, pod lód skoczyłbym... Ja by za was....

— No, no, doczekasz się jeszcze, może i przed

¹⁾ *Petak*, odzienie, które huculi noszą na opaszki.

zimą... że choć nie pod lód skoczysz, to prędzej w ogień... i będziesz się piekł...

— Ale się sprawię... dalibóg sprawię! — Potem dodał: — Żeby ze mnie i pasy darli... ja będę stał... i nikogo nie wydam!... *Prysjaj Bohu..* nie wydam!... Oni będą darli, a ja sobie będę *piśni spiwaw...*

— No, pamiętaj!... Bo jak nie wytrzymasz... to wiesz, co cię czeka?...

— Ażali ja nie wiem!...

— Ej, ty bo myślisz, młody sokoliku — wmięszal się czarny Kuryło, — że my zawsze będziemy jeno ze żydami mieli *turbacyą...* jak tam-ci było pod Kałuszem... a ty będziesz im brody jeno smalił?... Nie zawždy damy ci powiązane *nechresty...* Ho! ho! przyjdzie-no i na dwory... Jak to ono było... ty tego nie pamiętasz... Jeszcze wtedy ciebie nie było... Ho! ho! na dwór Pistyński, to nie przelewki!... Tam ich *puszkary* mieli *flinty*, a dragony... nie już rusznice co je zapalasz lontem, jeno *puszki*, z takim kurkiem, który, skoroś go pocisnął, zaraz starł się o krzemień, *taj* wydobyl iskrę... ano zaraz zapalił!... To nie żarty!... Nie naszych borów to broń!... A jeżeli z naszych którego złapali, toć i ćwiertowano... A tobie, myślisz, żeby jeno dali może bizuny...

jak-ci tam niegdyś wlepił sto nahajów podstarości Potockiego?...

— A czy ja wam się boję nahajów?... *Ta* dali mi, *taj* co?... Ale teraz już mi nie dadzą!...

— Tylko cię lepiej *oprawią*...

— *Ta*, niechaj i zetną!...

— Ale głowa odrąbana, chłopie, już się nie zrośnie!.. Niby na postrach naszym...

Tu rusy Tymkołokończył:

— Zawisnie na bramie twoja *kuczerewa*, ale z wydziobanem już ślepiem... przez pułhaczy...

— Jeśli zawisnie... to niech zawisnie!.. Człowiek raz żyje, raz ginie!

I powstał śmiech nowy — a chłopak stał czerwony; nie bardzo bowiem było mu w smak widzieć kędzierzawą głowę swoją na bramie jakiego zamku...

-- A tymczasem jeszcze będziem *ryzal' nechresty*... *taj* babom żydowskim zdzierać ze łbów bindy z perłami!..

— Ano pamiętasz tam w Kutach?... Ej, ty nie był wtedy!.. Ale my dobrze pamiętamy, jak to te *wormiany* bronili skopów swoich... Dowbosz gnał z nami całe tego stado... Toż to było pieczeni a kożuchów dla wszystkich!..

— Nu, dajcie pokój, chłopcy — zawołał zezowaty Mortko — na nas *czatował* już może gdzie *woni nadworny*, a może i *dragonie tego...* *Woni majo takiego* muszkiet, co sam pali... *aj gwałt!...*

— Czy to pierwszyna, żydzie?... Dragony, nie dragony... ano chociażby i pancerny! *taj* co?... Dragonowi muszkiet jego rozbijem, pancerny nie wysoko tu się wydrapie! Na pierwszym lepszym usypisku tak-ci zajędzie, że go już nie szukaj więcej!... chyba gdzie kości po nim na dole... Cha! cha!... Żelazo na okrycie, to nie nasz *petak!*

A czarny cygan z tłuszczy tej nie otwierał gęby, jeno się raz wraz zalewał z baryły... Czasami łypnął oczyma, gdy była mowa o koralach lub *bindach* żydowskich, a wtedy i rudy a zezowaty Mortko świecił oczyma jakby żbik, — krew mu zaś podchodziła aż do ślepie... Lecz *mołodecy* na nich obu mieli baczność.

Był w szajce tej także i madiar jakiś, co ła-two było poznać po wąsie w górę zakręconym i suto sznurami obszytej kurtee; najwięcej jednak było tu chłopów huculskich i włóczęgów wołoskich.

Dowbosz rojną przewodził drużyną, z różnych stron zebraną. Byli tam i *gazdowie*, osiedli na

gruncie, mający we wsiach górskich bydło i owce na *połoninach* ¹⁾); przebywali tu oni czas niejaki, a potem wracali do chat swoich na gospodarowanie — niepoznani.

Nareszcie *watażka* dał znak, iż się zabiera do rozdzielania łupów... I w jednej chwili spoważniały wszystkie oblicza... Chciwość błysnęła w każdym oku... Zaczęli się teraz schodzić i inni, zakryci dotąd drzewami, tak, że się tego zebrała niemała liczba.

Wszystko to zebrało się w około kupy tej zarobowanej i rozpoczęły się targi a krzyki, niekiedy odgrażania się... Niejeden miałby ochotę drugiemu nóż wbić w gardziel, lecz wzrok groźny *watażki*, jako wodza, nieznającego oporu, umiał bójkę zażegnać.

Dziewczyna patrzyła na to, drżąca ze strachu, zwracając się z obawą na *watażkę*, który tu jak mocarz wyglądał wśród swojej drużyny, większy i silniejszy, niżeli król na stolicy... Bo gdy Sas musiał schlebiać jednym i drugim, a zwołując raz po raz sejmy, opuszczał je wnet zrywane i wracał do pizerwanej drzemki i lulki: *watażka*

¹⁾ *Połoniny*, pastwiska na grzbietach gór wysokich, gdzie całe lato z bydłem i owcami spędzają pastuchy.

przeciwnie, trzymał w swojej dłoni żelaznej najniesformiejsze żywioły. Nieposłuch zaś tu groził każdemu stryczkiem lub toporem.

A jak był despotą nad drużyną, nie znosząc oporu, tak i w miłości swej nie znosił oporu kobiet zamężnych czy niezamężnych, uważając je jako stworzone tylko dla niego... Ponieważ zaś był to chłop silny i urodziwy, a do tego otaczała go aureola niezwykłego watażki, któremu liczne, raz po raz nasyłane nawet oddziały wojska rady dać nie mogły: — nie sobie przeto z tego nie robił, że tam serca niewieście się krwawiły.

Nowa branka nie opanowała jeszcze jego serca *mołodeckiego*, ale groziło już z jej strony niebezpieczeństwo innej krasawicy, którą był watażka pierwiej umiłował.

Czy tamta, będąc ztąd daleko, przeczuwa, co jej dzisiaj grozi? czy się jeszcze ludzi może miłością *watażki*? — Mało go to widać ninie obchodzi.

III.

W chacie huculskiej, dostatniej, około ogniska zajęta była wraz ze swoją dziewczką młoda a urodziwa gazdyni, bo mąż jej, oglądając *puszkę*¹⁾ swoją, czekał na wieczrę, aby odejść czempredzej na nocleg do brogu siana.

Irena, chwilami spoglądając na niego, odezwała się:

— Ty dzisiaj... nie chodzisz za zwierzem.. Na co ci... tak bardzo... tej *puszki*? .

— Gorszy bo teraz, kobieto, zwierz czatuje tu.. Ba, czasami on i w naszych lasach kosmackich.. Raz-ci na Czarnohorze, to kędyś aż za Bystrzycą jedną, to drugą, za siódmą rzeką, za dziewiątą górą... ale niespodzianie może się pojawić w naszym Kosmaczu...

Irena nic nie rzekła, jeno pilniej dokładała łożmaków, by prędzej garnki zakipiały.

— Oj, tak, tak, Ireno — ciągnął Stefan — czło-

¹⁾ *Puszka*, strzelba u Hucułów (prościejszego kalibru). *Puszkar*, strzelec.

wiek się nie oglądnie, aż tu Dowboszczuk, choć on dziś niby daleko, nagle może się zjawić... A gdyby tu który z jego drużyny zajrzał do mojej komory, do stajni?... Czy jabym to zniósł?... Czy ja nie jakoby *puszkar* już *od maleńkości*?... Nie zeszedłem ci ja bory te wszystkie?... nie chodził na *Grehit*¹⁾ nam bliższy?... *Ledeskuł*, a *Pożeretuł* czy mi obcy?... A i po za *Iłcię* nie chodził?...

— Tam mają być dziś także chaty... nad tą *Iłcią*? — wycodziła uważnie Irena.

— Ano, są!... Jest już jedna, *taj* druga... będzie i kilkanaście w tej zapadłej dziczy...

— Czy to... taka straszna tam dzicz, *Stefane*?

— A jakieś chciała?... Tam ludzie mieszkają, jakby już za światem, chociaż to jeszcze *żabiwscy*...²⁾ Od chaty do chaty tam nie zajdziesz... każda jakby schowana w zaroślach...

Gwarząc tak wyjął nieco siekańca ołowianego, i zaczął grubsze kawałki przedzielać na dwoje.

1) *Grehit*, *Ledeskuł*, *Pożeretuł*, wysokie szczyty karpackie, nie daleko Kosmacza.

2) *Żabiwscy*, mieszkańcy *Żabięgo*, najrozleglejszej wsi w głębokich górach nad Czeremoszem.

— Ty chodził na *Ilcię*? — zaczęła znowu żona: — Czy tam... taka długa droga... ano straszna, na *toj Grehit*?

— Chociaż tam, kobieto, od naszego Kosmacza trzeba-ci się przedzierać przez niejednego bór, *ta* już spinać coraz wyżej a wyżej aż na sam *Grehit*, potem zaś zchodzić po strasznie urwistym stoku... jednak nie byłoby jeszcze tak źle... Ale dzisiaj tamtędy rzadko chodzą... Ten Dowboszczuk zabrał nam wszystkie bory... Nie chadzaj tamtędy, człecze... bo tam jego władztwo!... Ah, bodaj tego Ołeksę Dowboszczuka!... Bodaj był się on nie wyrwał wtedy służbie Potockiego, gdy-ci chłopaka jeszcze *jamneńskiego* z tej zapadłej *Jamny*¹⁾ do dworu powlekli!... Od tego czasu, kiedy złożył sobie drużynę, wszystkie tu góry i wszystkie wsie nasze górskie zostały zaniepokojone... Ha! nietylko ci górskie, ale i tam po dolinach... Ano! dwory czy się go nie boją?... Czy strzegą ich okopy, *taj* wały?... A umie on się wszędzie dostać... potrafi wynaleźć, gdzie co zakopane... Ano, Senia Olejniuka... czy nie związali dziada... *ta* i nie przymusili, że im musiał pokazać, gdzie jego *biłi*

¹⁾ *Jamna*, uboga wieś w przecudnej kotlinie karpackiej po nad Prutem z wielkim hukiem tu pędzącym.

taj *żowti*...¹⁾ A starej Draganichy czy nie *opravili*, co się zwie?... Nie leli tam smoły roztopionej, iż baba musiała tam ich zawieść, gdzie chcieli?...

Irena niechętnie tego słuchała, lecz on nie uważał i ciągnął dalej:

— Ho! ho! oni wszystko wykryją... Człowiek dawniej był bezpieczny... *ta* chodził wszędzie za zwierzyną... a dzisiaj co?... Dziś Dowbosz panem tu wszędzie... jakby nie nasze to już były bory... A, bodaj go! Dałbym na wielką *służbę bożą*, *ta* i na *parastas*, żeby go kula moja trafiła!...

I tu zgrzytnął zębami, a Irena się wstrzęsła.

— Ale cóż! — ciągnął dalej, — jego kula się nie ima... Czy to pierwszy raz ciągnęły nań wojska nadworne naszego pana wojewody... i nie z takimi *puszkami*, jak nasze?... Tam były *garłacze* i szwedzkie *samopaty*, jak mówią!... A czy oddział *nadworniańskich*²⁾ panów *molodec toj* nie zniósł-ci niedawno?... Mówiono, iż nań strzelano wtedy kulami, jakby grochem a on kule ręką im odrzucał... ot tak!

— Dlatego lepiej z nim mir wam zachować —

1) *Bili*, srebrne, *żowti*, złote pieniądze.

2) *Nadworniańskich*, t. j. Potockich, jako posiadaczy Nadwórny.



rzekła Irena — a będzie bezpieczniej! — I dalej zwróciła się ogień poprawiać.

— *Ta*, zachowują z nim mir... ano, co mają robić biedni ludzie?... Ale gdyby to *Hospod Boh* zesłał nań chorobę jaką... albo gdyby to kula z *puszki* jakiej miała taką moc — —

Irena spojrzała koso na gazdę, lecz on tego nie uważał.

— *Ta*, bo i człowiek uczył się strzelać od małeńkości... Pierwsza chłopcu jeszcze wskazała drogę *ta stara*...

— Jaka *stara*?...

— *Ta* jaka?... Ano, niedźwiedzica, co szła z dwójgiem niedźwiadków swoich...

— I jak ty się wtedy odważył, dumny, ciskać na nie kamieniem!...

— *Ta* jak?... Ot, durne jeszcze chłopię!... Zebrałać ochota rzucić, *taj* rzucił... A to małe jak-ci zaryczało... *stara* wnet za mną... Ja w nogi!... *taj* czempędzej do ziemi... i oddech zatrzymał... leżał ni to nieżywy. *Stara* obwąchała... i jak-ci zaczęła znosić łomaki, a kamienie, by mnie zagrzebać, to mi się aż zimno robiło. I drugi raz bestya się wróciła, i jeszcze dorzuciła... Byłem ja w strachu!... Alem za to nabrał tyle złości, żem odtąd niczego tak nie pragnął, jak wytępić ten ród niedźwiedzi.

Gotowa była już wieczerza. Irena naląła do miski. Zeszli się parobcy Stefanowi i czeladź żeńska, wszystko też zasiadło do strawy. Czeladź było tam dosyć, gdyż Stefan Dzwińczuk był to *gazda* dostatni, miał bydło i owce i własną *połoninę* niemałą, a nawet i w komorze chował grosz po ojcu. Mówiono, że miał niejedno zakopane przed opryszkami, bo jego *dedja* (ojciec) dużo zostawił *hroszej*.

Po wieczerzy czeladź się wyniosła i wyszedł z parobkami *gazda*, gdyż trzeba było pilnować koni i krów, które nie poszły na *połoninę*.

Irena sama została. Zgasła ogień, dziewczki się spać pokładły i wnet posnęły. Ona zaś spać się zaraz nie położyła. Kobiecie tej na duszy było dziś nie wesoło. Usiadła na ławie i mocno się zamysliła.

Stefan wspomniał o Dowboszu... Irenie to jakoś nie było na rękę. Ona Stefana kochała... Wszak z miłości, a nie dla jego *gazdowstwa*, zań wyszła? Rodzice to wprawdzie dali mu ją do chaty na *gazdynię*... ale on i jej nie był obojętnym, był to bowiem chłop urodziwy.

Od pewnego czasu jednakże ktoś jeszcze inny zajął jej myśli. Gdyby nie ten, byłaby ona z *gazdą* swoim szczęśliwa, żyjąc, jak *Hospod Boh* przykazał... Ależ co ona temu winna — rzekła do

siebie — że ten człowiek zjawił się jej wtedy niespodzianie... i jako obcy, z obcego siola zapytał o drogę?... Czy miała wówczas odejść i nie powiedzieć?... Tak sobie dziś rozbierała w myśli.

Ano... potem, kiedy niby wracał znowu, czyliż miała uciec, gdy przystanął, ażeby z nią słów parę zamienić?... Mogłaż była wtedy wiedzieć, iż to *watażka*, o którym tyle mówiono?... Czy ona temu winna, że wzrok jego przejął ją do głębi i pozostał w duszy, — a siłąc się zapomnieć o wszystkim, zapomnieć już nie mogła?... Nie postanowiłaż potem już z nim się nie schodzić, gdy on jej naznaczył czas, w którym zejść się mieli oboje?...

Irenie dziś wszystko to stanęło w myśli. Uspokajała tem sumienie, że przecież wówczas przemogła to na sobie — aby potem z nim się nie widywać...

Atoli czy jej to winą, że po wielu dniach przypadkiem znowu raz się zeszli?... To już takie, widać, było przeznaczenie. On jej wtedy wyjawiał, kim jest... a po niej dreszcz przeszedł przest్రachu... Ale w tym przest్రachu coś było takiego, co jej siły jakiejś niezwykłej a dziwnej dodało radości... nieznany przedtem ogień rozżarzył się w jej piersiach... Myśl ta bowiem, że ten straszny *watażka*, przed którym wszystko

drży, którego się boją pany i ich dwory, że ten człowiek jest jej kochankiem: — myśl ta odurzyła jej zmysły. I uległa.

Nieraz, gdy po schadzce z nim, wracała do chaty i zoczyła gazdę swego, który niczego złego się nie spodziewał: wówczas chwyciła za szkaplerz, wiszący na piersiach, odmawiając modlitwę, albo padała przed obrazem *Mateńki Bożej*, obwieszanej w chacie zielem, przez nią zbieranem. Wtedy błagała, aby Matka Boża od niej odwróciła, co tylko może być grzechem... Jednak nie to nie pomagało. Irena, wbrew woli własnej, musiała stać się niewierną gaździe swojemu.

Tyle zatem wzięła na swoją duszę... A teraz, gdyby ten człowiek... I tu urwała się myśl. Lecz zaraz starała się w siebie wmówić, że nie jej miłości jeszcze nie zagraża, — bo choć od pewnego czasu w usposobieniu Dowbosza zaszła jakoby zmiana, choć on się teraz zdawał być prawie innym dla niej, zimnym a tylko rozkazującym: ale wszak to nie dziw! czyliż bowiem nie jemu to panować nad wszystkimi!... Żali on tylu ludziom nie rozkazuje?... Jemu *Hospoď Boh* dał władzę, by panował nad innymi!... Wojsko całe, setki ludzi, muszą go słuchać!

Mimo to przychodziły jej inne myśli, natrętne, których się pozbyć nie mogła... Bo... gdyby on

dziś o niej zapomniał?... Czy on ją widzi tylko jedną?... Gdyby dziś... na tyłu jego wycieczkach... inna mu w oko wpadła? — —

I tu się wstrzęsła. Ona dziś nie wie, coby wtedy uczyniła! Zdawało się jej, żeby wówczas stała się najniezwyklejszą z ludzi... Ale może to nie prawda?... Może to tylko jakie *majaki*? I znów się zamyśliła.

Postanowiła jednak dojść dziś prawdy... Dość przecież długo już czekała, i żadnej o nim nie ma wieści?... ostatnim zaś razem, kiedy był z nią, zdawał się być już jakimś innym?... Dlatego ona dziś dowiedzieć się musi prawdy.

Słyszała przecież, że są takie kobiety, które prawdę wywróżą; one mogą zażegnać biedę, a nawet umieją przywołać kochanka nieobecnego, że się pojawi, — potrafią tęsknotę za lubą w od dalonym obudzić kochanku.

W siole są wprawdzie takie kobiety... ależ za nie w świecie Irena nie udałaby się do nich. Coby bowiem na to powiedziano?... A jeśliby się jeszcze mąż jej dowiedział!... Zadrzała. Słyszała jednak, iż w Żabiu, w odległej ode wsi chacie jednej... właśnie nad *Ilcią*¹⁾, jest taka kobieta,

¹⁾ *Ilcia*, przysiółek dziś Żabiego, na dwie prawie mile długi, nad strasznie dzikim potokiem tego na-

co *wie* więcej, niżeli wszystkie *swoje* w Kosmaczu. Do niej też i kosmackie zachodzą. Ona ma już „takie sposoby,“ a takie zna zioła, iż skoro je zagotuje, w sercu lubego, choćby nie wiedzieć gdzie przebywał, dawne obudzi się kochanie. Tylko że to daleko?... i trzeba przejść czarną *Kłyfę* i wyższy garb *Prełuk* ¹⁾, oprócz tego i sam *Grehit* wysoki, gdzie takie mają być burze, że się człowiek ledwo utrzyma na nogach... Lecz tamtędy chodzą przecież ludzie do Żabiego?... Boją się jeno *mołodców*... Ależ czy i ona miałaby się ich obawiać?... Wszak nad nimi wszystkimi jest Dowbosz?... Ona możeby nawet rada z nim się tam zdybać...

I znowu w tej chwili mrowie ją przeszło. Bo gdyby on do niej dziś się nie chciał przyznać?!... Zaraz tu jednak przyszło jej na myśl, że go tam pewno nie zdybie, bo drużyny jego nawet w tych górach nie ma teraz... Tak przecież mówią?... Oni gdzieś daleko odeszli — i tam mają czynić wyprawy swoje.

Postanowiła zatem nazajutrz lepiej się o tę

zwiska. W czasach dawniejszych zaledwie kilka chat tam być mogło.

¹⁾ *Kłyfa*, *Prełuki*, garby gór po nad samą doliną kosmacką.

drogę wypytać... w Stefana zaś wmówi, że ją od dłuższego czasu goście straszny napadł, kości łamiąc... Wszak i tak on nie raz się patrzy, co jej dziś brakuje, że jakaś inna, niż dawniej. Zresztą choć się chłop może będzie dziwił, ona mu wytłomaczy, że tutejsze, kosmackie, nic jej nie pomogą... że wcale nie ma do nich wiary, — bo one nie potrafią nawet dobrze „odezynieć uroków,” jeśli by kto na nią rzucić miał urok.

IV.

Nazajutrz skoro świt, wybrała się Irena w drogę. Dokoła był mrok jeszcze nocny; od strony tylko *Brusów* podłużne na niebie, jaśniejsze ciągnęły się pasy, lecz słońca jeszcze nie było. Irena przechodziła koło chat różnych, przełaziła miejscami *worynia* ¹⁾, czasem zdybała kobietę jaką, która wcześniej wyszła z konewką do potoku; niekiedy ją psy opadły, lecz zaczawszy, że to ktoś ze swoich, odeszły, głucho jeno pomrukując.

Kiedy ostatnie minęła *worynia*, wychodząc już na górę, spojrzała ku wschodniej stronie — a tam czerwień oblała teraz szeroką, krwawą strugą część oną nieba — i wszystko zdawało się przybierać w tej chwili jakąś posępną barwę. Mimo to z pośpiechem wychodziła Irena na czarną *Kłyfę*.

Przyszło jej teraz iść lasem... Tu chwilę się zatrzymała, jak gdyby się zawahała, czy ma wejść

¹⁾ *Worynie*, ogrodzenie u Hucułów z kłótych jodeł lub świerków.

w ten bór czarny. Lecz opanowawszy się, z niejakim strachem weszła w ową ciemność lasową. Zdawało jej się w tej chwili, że teraz noc na świecie, jednak wiedziała, iż tam w kosmackiej kotlinie pewnie jest jaśniej. To jej dodało otuchy, a postępując coraz wyżej, spostrzegła, że się już bór ten kończy i wychyla się zieloność halawy, — że im więcej do niej się zbliża, tem się ona staje jaśniejszą, jakby oblana pierwszymi promieniami słońca.

Wyszła wkrótce z ciemnego lasu i ujrzała się na błoniu otwartem, — a im wyżej podnosiła się w górę, tem coraz więcej widać było światła.

I stanęła *na Prełukach*. Słońce tuż się wytoczyło na niebie i krąg jego wielki, świetlany, oblał wszystkie góry i wzgórze dokoła obszernej kosmackiej kotliny; sam jej jeno środek ciemniał jeszcze w mroku nocnym.

Gdy teraz ujrzała wysokie pasmo *Brusów* jaśniej oświetlone i niższy *Bukowiec*, wszelkiej pozbyła się już trwogi. Chwilę przysiadła, by się po świecie rozglądnać; chciała tu lepiej rozpatrzyć się i nabrać większej pewności.

Chociaż urodziła się w Kosmaczu, — znając chat tyle, zdziwiła się jednak, że sioło jej rodzinne takie ogromne, rozległe: było bowiem tu tyle chat odległych po dalekich rozworach a werte-

pach, że jej noga nigdy jeszcze tam nie sta-
nęła! ¹⁾

Powstawszy wkrótce, szła instynktowo bokiem
nieco pasma, spinając się coraz wyżej, wchodząc
to pomiędzy świerki, to na otwarte miejsce.

W dalszym pochodzie wejść znów miała w bór
ciemny, zatrzymała się jednak, nie wiedząc, czyli
właśnie tędy wiedzie droga... Gdy zaś oko jej
bystre natrafiło na *plaj* ²⁾ ledwo dojrzany, któ-
reży czasami przechodziły owce lub kozy, przez
pastuchów wiedzione na dalsze *połoniny*; ślady
te ponownie wlały w nią otuchę.

I weszła w bór większy... Lecz bór ten nie
był tak łatwym do przebycia... Raz po raz *plaj*
był tu zawalony wielkimi załomy, — burzą
i wichrami poobalane zagradzały jej drogę świer-
ki, tu i owdzie już próchniejące, — w innem
znów miejscu, mchem pokryte, za dotknięciem
zaś jej stóp wnet się rozsypujące kłody olbrzy-
mie, gdzieniegdzie tak bardzo zarosłe, iż tylko
z trudem mogła się przez nie przedzierać... I by-
ły chwile, w których już żałowała, że się wy-

¹⁾ Cała plastyka terenu wiernie jest zdjętą tu
z natury; autor bowiem sam przechodził przez
wszystkie opisane w powieści tej miejscea.

²⁾ *Plaj*, ścieżka w górach.

brała w taką drogę. Lęk ją objął... chciałaby się nawet wrócić.

Miejscami znów coś śmignęło... ptak to jaki, czy zwierz drapieżny? W jednym miejscu zdało jej się widzieć nawet ślepie rysicy, lecz bestya czempredzej dalej się po gałęziach wydrapała... jakby zając chciała jej z tyłu drogę... Musiała zatem kobieta iść naprzód, czempredzej drapiąc się w górę... po gałazach wielkich, omszonych, między którymi długie sterczały korzenie świerków... coraz już rzadszych i coraz niższych, a im wyżej w górę, tem bardziej karłowatych.

Wiedziała, że wkrótce wyjdzie z tego boru... że jest już bliżej otwartego grzbietu. Ostatnie znikły teraz świerki... coraz ostrzejsze zaczęło wiać powietrze, — i po złomach gałazów, dziko napiętrzonych, kalecząc stopy, drapać się musiała do góry na sam grzbiet; — innej drogi nie było.

W tej chwili ledwo co z przestachu nie zdrętwiała. W pośrodku złomów kamieni, omszonych żółtym porostem, siedział dziad biały z białą do pasa brodą. Chciała się cofnąć... Lecz on zagadnął:

— *Ta*, czego się boisz, *mołodyco*? ... Ja-ci przecie takóž *chrystijańskij czelownik*.

Nie wiedziała, co na to odrzec... Zaledwie zdobyła się na pozdrowienie:

— *Sława Isusu Chrystu!*

— *Sława na wiki...* Ale gdzie to ty dążysz... tak... sama jedna?... *Ta* ja widzę... ty się boisz dziada, co go z Żabięgo tędy wiedzie droga... do Berezowa..

— Wy z Berezowa?

— A jak bo inaczej?... *Ta*, z *niżnoho*... A ty zkąd, kobieto?

— Ja... z Kosmacza... idę do Żabięgo...

— Tędy?

— Tędy... Bo na *Iłcię*..

— Na *Iłcię*?... Ho! ho! nie dobra-ci tu droga na nogi kobiece... Dość sę już człowiek w życiu nachodził! Ale się dobrze nasapał, zanim tu wy-lazł... ano jeszcze dobry kawał czeka mnie dziś drogi! I twoje nogi widzę nie złe, skoro ty tu, pewnie dziś, z waszego wyszła Kosmacza?..

Irena poznała, że może się starego o dalszą wypytać drogę. Chciałaby zaś wiedzieć, gdzie się teraz znajduje...

— Wy mnie powiecie, *djetku* — odezwała się czempredzej, — jak się to miejsce zowie, gdzie teraz jesteśmy?..

— *Ta*, jak bo?... To przecie *Grehit!*... Ot, ten garb... to-ci już wierzch jego...

— Oj, oj... a czy tu bezpiecznie?... *Boże boro-ny*... *zły* wichur jaki?..

— Jakby tu był teraz *zły* wicher, jaby-ci nie siedział.. Ale ninie spokojna *hodyna* ¹⁾. *Złe* nie nadciąga. Człowiek może chwilę spocząć... Ale ty tu nigdy, jak widzę, nie bywała?... *Ta bo* się dokoła rozglądasz... Ja-ci bywał na świecie, oj, bywał!.. Służyło się za młodu i we dworze. Zawiedli-ci mnie do dworu dzieckiem pańskie hajduki... Bywało się i pod *znakami*... w chorągwi kozackiej, w *barwie* Potockiego .. Oj, dużoć to służyby było w Nadwórninie... ot, w zamku tam na górze!.. Byłyć tam i *hajduki* i *pajuki*.. ano *tatary*... co nie miara tego!.. Uganiało się za *nimi* ²⁾ (tu zrobił minę tajemniczą).. w górach za Nadwórną, za Sołotwiną... Gdzie bo człowiek nie był.. po jakich tam jarach, wertepach!.. Gonił-ci, gonił, zanim nie zeszedł na dziada!..

Zatrzymał się chwilę, odsapawszy, potem znów zagadnął:

— Ty się patrzysz, co to za góry tam na za-

¹⁾ *Hodyna* (godzina). Lud wierzy w „dobrą“ i „złą“ godzinę.

²⁾ Lud nie lubi wyraźnie domawiać wszystkiego, zwłaszcza gdy mówi o tem, czego radby uniknął, jak n. p. tutaj, gdy pod „nimi“ rozumieją się opryszki.

chodzie?... To *Gorganu*¹⁾, te szczerbate, a ten garb to *Synieku*, a tamten jakoby *stizok*... to *Chomiakiw*... Nie takie one blizkie, jak ci się wydają...

— Aj, co tu gór a kopców!... Żali tam dalej także takie są góry?... A te ledwo sine... nito chmurki... co takie *wam* nikłe?...

— Ho! ho nie takie one nikłe... tylko że dalekie... *dużo* dalekie!... To *Blyznyci Sywula*, dalej *Rih z Wysoką*. Tam-ci nikt nie zajdzie!... Tam są same skały, *taj* skały.. a *takij* wicher, że trzechby się nie utrzymało ..

— Wy tam byli?...

— A po co jaby tam chodził?... Ale byli, co i tam musieli *ich* szukać...

— Kogo, *djetku*?

— *Ta* kogo?... Pewnie, że nie dobrych ludzi!...

— *Maty swiataja*!... Jakieć to bo wysokie!

— Te... na południe?... To-ci *Czarnohora*.

— *Czarnohora*?...

— A tak!... A koło niej z prawej strony węgierski *Pietrosul*.

¹⁾ Na *Gorganach*, *Synieku*, *Chomiaku*, był autor innego lata, kiedy robił wycieczki w góry nad górny Prutem.

— To *Czarnohora*, *djetku*, tak już blisko? — rzekła wpatrzywszy się uważniej w dziada.

— *Ta* gdzie-ci blisko!... To się jeno tak wydaje... Tu jeszcze *zwór Ilci*, *taj Żabie*... i *Hospod Boh zna*, jakie tam jary, wertepy, a jakie-ci puszcze!...

— Wyście... nie byli... na *Czarnohorze*?...

— A jaby tam poco szedł?... *Tu* kto-ci tam chodzi?... Chyba *Dowboszczuk* ze *swoimi*.

Na to imię zadrgało jej w piersiach.

— Ale ty się przestraszyła na samo o nim wspomnienie... Nie bój się! Ty tu jego nie zobaczysz... On-ci gdzieś teraz w innych stonach...

— W innych, *djetku*?...

— A pewnie... A gdzieżby ja szedł tędy, gdyby on tu był dzisiaj?... Chociaż ja się nie mam bać czego... bo co on ze mnie ściągnie?... Ty, co innego!... Może masz i korale?... Ale gdybyś i nie miała, na krasawice, mówią, *dużo* on *zachłanny*.

— Na kobiety... mówicie?...

Tu ją oblał gniewu rumieniec i zdjęła za zdrość. Ale stary wziął to inaczej, i dodał zaraz:

— Ty się o to nie bój!... Jego teraz tu nie ma... Możesz iść bezpiecznie... Ba, gdyby cię zobaczył... co nie daj Boże!... lepiejby ci było, że-

byś sobie kamień do szyi uwiązała, *taj* gdzie najgłębsza wyrwa...

Ona się wstrzęsła, jak gdyby to wyrzekł w „złej“ godzinie. Niechętna była zresztą w tej chwili dla starego, że tak się o jej *watażce* odzywa.

— On *dużo* jest silny — prawil, — ale ma i łaskę u *Hospoda Boha*...

— Ma łaskę u *Hospoda Boha*? — zapytała, bardziej rada temu.

— A tak!... Ten *Dowboszczuk*. powiadają, gdy ci jeszcze był chłopakiem niewielkim, a stanął raz ze swoją *puszką* pod skałą, nadciągnęła *hodyna* straszna z gromami, a były pioruny po piorunach... wtedy, Boże uchowaj nas! *ditko* uciekał, *taj* przeskakiwał z drzewa na drzewo, i *Hospodu Bohu* (wybacz *Hospody!*) *jazyk pokazywaw*...

— *Ta* jakby on śmiał *Hospodu Bohu*?...

— *Ta* jak?... Jako *ditko*!

— A co ten Dowbosz, jakieście *skazali*?...

Tu natężyła słuch, by się o nim dowiedzieć czego więcej.

— On jako chłopak jary strzelił do *ditka* z *puszki* swojej, a ten upadł z *derewiny*, aż się krew polała... Tu się zjawił *anhel*, *taj* zapytał Dowboszczuka, coby on zechciał teraz... „Cheć siły!“ wyrzekł.

Kobieta nań spojrzała, a stary dalej prawił :

— *Anheł* kazał mu podać rękę i napluł... taj kazał smereczyne... ot, tak... niewielką.. wyciągnąć... A chłopak wyciągnął z korzeniem... Toś już rad ninie? zapytał... Nie! rzekł chłopak. Wtedy napluł mu drugi raz na rękę. A zaraz potem Dowboszczuk wyciągnął już grubszy smerek. Ano teraz?... Nie jeszcze. —

A Irenie oczy zaświeciły. Stary dalej ciągnął:

— Dawaj jeszcze rękę!... Za trzecim razem Dowboszczuk zaraz-ci wyciągnął smerek, jakiegoby trzech chłopów nie zrąbało... Zatem już dosyć!

Stary opowiadał, a Irena połykała opowieść, rada w duszy słyszeć, że jej *watażka* taki mir ma u Boga i ludzi. Uczuła, o ile on jej droższym stał się w tej chwili... Gdyby go dziś utraciła, życie sobieby odebrała! Lecz każdą inną kobietę, dla którejby ją porzucił, wpierw struła-by, zabiła!..

Prędko zapytała o dalszą drogę starego.

— *Tu*, uważać ci, byś jeno tam w las w dół zchodziła... a trafisz, jak ci opowiem, czego się masz trzymać... Jednakowoż tu nie trafisz sama przez ten *grón*... ¹⁾). Poczekaj! ja cię tu *kawałek*

¹⁾ *Grón*, u Huculów grzbiet góry.

powiodę przez *grón* i *połoninę*... byś drogi nie zmyliła... a potem już pójdziesz sama...

— A, dobry *djetku!* *Hospod Boh* wam zapłaci!

Zabrał się teraz stary z Ireną... i szli po głazach ostrych, omszonych, raz w górę nieco, to znowu w dół... Smereczyna ciemniała tutaj skarłowaciała, krzakami jeno pełzając po ziemi.

I wkrótce byli już na świeżej, zielonej *połoni-
nie*. Dokoła świat teraz jakby wypiękniał... Przed nimi rysowało się wyraźnie dalekie pasmo Czarohory... Oni szli dalej — a stary gwarzył:

— Ty idziesz na *Iłcię*. Pamiętam ja ci... kiedy byłem małym chłopakiem.. nie było tam chat jeszcze w tej dzicy; później, od *Żabiego* kilku tamtejszych gazdów zaczęło się budować nad tą *Iłcią*... Było wszystkiego trzy czy cztery chaty, zdała od sioła odbiegłe... A teraz tam wzdłuż potoku coraz dalej... tyle powstało już chat!... Jest ich może z kilkadziesiąt... Gdzieby się który był wtedy odważył w taką pustynię! Bo to strasznie dzikie, ta *Iłcia*!... Same oto wertepy a wertepy!... Szukaj chaty i nie znajdziesz... a ona tuż w zarośli... Ale bo tam-ci nieraz taki człowiek mieszka, co się niczego nie boi... Niechaj przyjdzie, choćby i sam *Dowboszczuk*, to i cóż mu weźmie? Chyba *ditynu?*... A jeśli jaki urodzi

się tam komu chłopak *duższy* a *ciekawszy*, zaraz przystanie do opryszków... bo i co on w tej Ilci będzie innego robił!... Tam i *plaju* nigdzie nie znajdziesz, a od chaty do chaty, to dużo chodu... Pięć pacierzy zmówisz, trzy razy upadniesz, zanim zoczysz jakie mieszkanie ludzkie... pójdziesz przez potok, nie-potok, wyzierają ludzie, nie-ludzie... A *ditia*, to jakby nie ludzkie...

— Aj *djetku*.. Ja tam właśnie idę.. do starej Hawryszczychy...

— Ty bo do niej?...

— Ona, mówią, ma już *swoje* na wszystko *sposoby*... a mnie trapi gościec...

— *Ta*, tak?... No, ona zna ci już wszystko. Stara tam niedaleko za *Kizią* ¹⁾, gdzie już nikt nie siedzi... ale stara ma na wszystko *sposoby*.

— I od nas chodzą do niej ludzie?

— Ze świata całego.. Ho! ho! ona wszystko *znaje*. Tylko kiedy *złośna*, toć nie powie. Ma już *swoją* godzinę. Tylko jej nie przeszkadzać, kiedy ziele swoje warzy, bo gotowa w złości *ta-kie* wypowiedzieć *słowo*, że człowiek ani trafi do domu...

— A cóż mu się stanie?

— *Ta* co?... Chłop-ci jeden — cichszym dodał

¹⁾ *Kizia*, poboczny potok *Ilci*

głosem, tajemniczo — gdy się z nią chciał sważyć, ona takim popatrzyła nań okiem, że chłopisko w jednej chwili okulał, i żadna potem najlepsza lekarka, rady już nie dała. Tak!... tak!... Bo na kumę swoją z *Krasneho Łuhu* ¹⁾, gdy-ci *złotna* raz tchnęła, to się ta z miejsca ruszyć nie mogła, stanęła jak figura przy drodze, aż dopiero ruszyła się, gdy jej odejść zezwoliła. Aleć znowu, skoro zechce, to wam chorobę, by najcięższą, wygoni, het! na góry, na lasy... Czy to cię *ciotucha* ²⁾ napadnie, gościec, czyli też w *hrudiach* ³⁾ zaboli: ona wszystkiemu da radę.

— A czy odgadnie ona to, co jest... daleko?...

— Jak w jakiej godzinie to-c i odgadnie... A po zioła... to chodzi aż na *Czarnohorę*... Tam bo mają być jakieś, powiadają... *rebra*. . Ale ja tam już tego nie wiem!

Tak gwarząc, doszli do boru ciemnego na stromem zboczu. Tu jej stary kazał bez obawy wejść w bór i trzymać się ciągle potoku w dół płynącego, a nie odstępować tego potoku, choćby nie wiadomo jakie tam były *zawały*... Tak doj-

1) *Krasnyj Łuh*, część Żabiego.

2) *Ciotucha*, febra.

3) W *hrudiach*, w piersi, we środku.

dzie na dół do *Kizi*... potem zaś wzdłuż *Kizi* postępując, dopadnie szerszego *zworu* samej już *Iłci*. Po nad tą ostatnią niechaj ciągle idzie z biegiem rzeki, aż dojdzie do pierwszej w zaroślach chaty po lewej stronie: tam to będzie siedziała stara.

Tu ją pożegnał, dodawszy tylko: — *Pomahaj Bih* w twoich zamysłach!...

— I w waszych... za wasze dobre słowo!... Niech *Hospod Boh* was chroni, byście dziś jeszcze zaszli do Kosmacza... Tam przenocujecie.

— A jeśli nie... to człowiek i w lesie prześpi się... Ot, rozłoży gdzie *watrę*, by się zagrzał, i ażeby *toj staryj*¹⁾ go nie ujrzał.. *Mołodców* dziś tu nie ma.. Dowboszczuk kędyś daleko...

Irena musiała się teraz sama dalej zapuszczać w nieznaną głąb lasu.

Zrazu bór był nieco rzadszym, i przezierało jeszcze w dół, a nie tak jeszcze było tu spadzi-sto... Potok huczał na lewo... Irena w dół zchodziła. Las stawał się gęstszym, świerki były coraz wyższe, i większy gąszcz nastawał. Kobieta trzymała się ciągle potoku, jak stary kazał, choć *płaju* nie było żadnego. Wkrótce zaszła w taką dzicz, że nie wiedziała, którędy iść tutaj... Zało-

1) *Toj staryj*, tak zwą niedźwiedzia.

my okropne: burzą powalone, sterczały świerki na świerkach, grube, omszone, zarosłe wyżej pasa różnorakiem zielskiem... Spód był także nader nierównym; składał się bowiem z dogniwających kłód, powalonych na innych kłodach, co się już w ziemię rozsypywały... Potoku nie było widać, tylko gdzieś zdala huk jego głuchy było słychać.

Irena przełękła się upadając, i pokaleczona, straciła prawie nadzieję, czy dziś dobędzie się z tej matni... Ale przecież mieli chodzić tędy ludzie?...

W tem głośniejszy usłyszała huk potoku, który miejscami błyszczał już między gęstwiną. Gąszcz nieco zrzadł... ale natomiast ujrzała się na bardzo stromem, złomami głazów i dzikiem usypiskiem najeżonem zboczem, lasem zarosłem... Zaczęła tu się zsuwać, prawie wraz z usypiskiem. To i ówdzie chwytiała się pniaków, to gałęzi, by się w dół nie stoczyć... Musiała zchodzić raz po raz wężykiem... Kamienie za nią się zsuwały... Chwilami przysiadła... Głusza zaś była taka w tym borze, żeś ani ptaka nie usłyszał, ani nawet mucha tu nie zabrzęczała. Głusza ta przeraziła kobietę. — Tu tylko — pomyślała — przebywać muszą leśne upiory... I wraz się przeżegnała... Bała się, by ją mrok nie napadł, gdyż wtedy o takiej porze każde *złe* ma *swoje prawo*.

Od chwili już słyszała dochodzący huk większego potoku... szła zatem coraz prędzej, zziębnięta, pokaleczona, z okiem wystraszonem. Nareszcie dostrzegła, że potok, obok którego w dół zchodziła, łączył się poniżej z większym. Tu był też *rozwór* nieco szerszy. Musiała to być już podług słów starego owa *Kizia*, gdyż weszła teraz jakby w wąską dolinę, gdzie z obu stron piętrzyły się w górę zbocza, dzikie, porozrywane, straszliwie zarosłe. Okropna dzicz! Nigdzie żywej jeszcze duszy!... *Plaju* i tutaj żadnego... Irena szła brzegiem potoku, raz po raz przechodząc to na tę, to na tamtą stronę, po ślizkich głazach drapiąc się na kamieniste, miejscami zarosłe brzegi.

Ziębnięta, przemokła po pas prawie, pokaleczona, patrzyła się w górę, czy to pasmo wysokie po prawej ręce nie rozdzieli się i nie pokaże jej szerszej doliny samej już *Ilci*. Ona nigdy nie myślała, iżby droga mogła być w te strony taką straszną...

Nareszcie *rozwór* ten złączył się z drugim, szerszym... Domyśliła się, że jego środkiem płynąć musi już *Ilcia*: bo potok pokazał się wnet znacznie szerszy i wyższe piętrzyły się nad nim zbocza. Ale i tu nigdzie jeszcze nie widać człowieka.. Mimo to okolica jakaś już niby pewniejsza... Stary powiedział, by szła tylko brzegiem

rzeki a wkrótce pokażą się ukryte w zaroślach chaty... Lecz to nie tak prędko jeszcze nastąpiło.

Dolina *Ilci* nie była właściwą doliną, jeno rozwozem szerszym, poszarpanym bocznymi wodami, o zboczach stromych — wysokich... tak, że Irena musiała w dół schodzić w mokrzyny zarosłe, albo kroczyć kamieńcem łożyska. *Ilcia* pędziła z rozgłośnym szumem, rozbijając się po kamieniach, spadając tu i ówdzie po złomach skalistych, napełniając szumem i hukiem całą dolinę — sama jedna — wielowładna. Ale chaty jeszcze nie widać tu żadnej. Irena wyteńczyła wzrok na lewo, to na prawo, czy gdzie przecież z jakiej zarośli nie wyjrzy dranicowe poddasze.

Słońce zapadło już dawno za góry... ale jeszcze było ono na świecie, bo szczyty i grzbiety gór świeciły tuż w pozłocie... Poniżej zaś zalegały już ciemnie.

Trwoga Irenę opanowała, czy zajdzie dziś na czas do chaty ludzkiej... a może i nieludzkiej? bo ta *Stara*, kto wie, jak ona ją przyjmie... W piersi Ireny biło, jak młotem... Drapała się dalej z pośpiechem.

Wtem zdawało się jej, że tuż za tą gęstwiną na lewo, na wysokim zboczu, coś tam majaczy, niby chata, czarna, pochylona. A może to tylko

szatra jaka, lub *koliba*, gdzie nocują pastuchy?... Ale tu nie ma przecież *połonin*? .

Przechodzi z obawą potok, po kolana brodząc w wodzie... zimno z dołu do góry przejmuje ją dreszczem... Wdrapuje się teraz na brzeg i zapuszczając się w gąszcz, zakryta, że świata nie widzi... Wtem wpadła w jakiś jar, a wygramoliwszy się po szarem usypisku do góry, stanęła na krawędzi — i tak rozpoznała już chatę, strasznie pochyłą, ze strzechą na bakier, gdzie sterczały spadające dranice, łątane gałęziem... Ale żywej tu duszy nie spostrzedz dokoła, ani też nie widać nijakiego gospodarstwa!.. Ni brogu na siano, ni stajenki tu żadnej... Z czegoż to w takim miejscu ludzie żyją?... Pustka, jakby dla upiórów!..

Wtem ze szczeliny ścian rozpadniętych ogień zabłysnął: Irena poznała, że tam przecież ktoś przebywać musi. Oddech też wstrzymuje, nasłuchując a bojąc się wejść... W piersi jej serce waliło coraz głośniejsze, krew podchodziła do głowy, bo może tam, myślała, w tej chacie *złe* jakie siedzi? Wyczekała chwilę, — przyszła nareszcie do przekonania, że to jednak być musi ta chata, o której jej mówiono... Ha! Niechaj się co chce stanie! Oua tam wejdzie...

Postępuje zatem drżąca i szuka drzwi, nie-drzwi...

— To ty, Seniu?... Jużście wrócili?...

— *Sława Isusu Chry...*

I tu urwała. przestraszywszy się, gdyż spostrzegła naprzód kota czarnego, który się naszczurzył, syknął, plunął, i za piec się ukrył, miaucząc żałośnie...

Potem wlepiła w nią oczy *stara*, czempredziej zdając się coś ukrywać.

— A ty zkądś się tu wzięła?... Nie patrz się, bo popsujesz mi *moją sprawę*... War ten nie lubi oczu *nieprawy*ch... Co ty tu szukasz, *zazulenko*?...

I przymiliła się, a wtedy postać jej potworna przybrała nowy wyraz, na którego widok nie mogła jeszcze przyjść do siebie Irena.

— No, no, nie bój się! Ty pewnie ze sioła zaszła do starej po jaką poradę... *Ta* siadaj i wysapaj się, bo tu do mnie droga nie taka, jak tam do was.... Ale ty nie słyszała, jak ja zagadnęła ciebie?... Co, dziecko?...

I tu widać było niejaką obawę na pomarszczo-nem licu starej.

— Bo widzisz... ja myślała, że to chłopiec mój wrócił.. On chodzi za zwierzyną...

Gdy to mówiła, oczy jej bure zezem patrzyły...

Ale kto wie, za jaką to chłopiec jej chodzi zwierzyną?... Widać bowiem było w tej pustej chacie jakieś łachmany nie chłopskie, bo niby kurtki ze sznurkami, kawały żupanów i jakieś bronie, jakich chłop nie używa. Stara już tego część corychlej zakryła, — lecz Irena niejedno jeszcze dostrzegła, co ją w oczy ukłuło...

— Wasz... chłopiec, matko, dzisiaj... może tu jeszcze przyjdzie?...

— *Ta*, gdzietam! jego i dwa dni czasem nie ma, a bywało i od jednej do drugiej niedzieli... Zwyczajnie chodzi za zwierzyną, a czasem idzie na jaką rokotę... do sioła... lub gdzie dalej *na dołynu*: bo my z tego żyjemy, dziecko... U nas nie rodzi się owies... Widzisz przecież, że tu nie ma koło mojej chaty ni szopy, ni brogu. — Potem jeszcze dodała: — Ano! ty zkad jesteś, dziecko?

— Ja *wam* z Kosmacza...

— Z Kosmacza?... Ja myślała, że ty z Żabiego?... Bo choć ja tam-ci znam ludzi... ale nie wszystkich... Tam dużo gazdów po odbiegłych wertepach... No, z Kosmacza?... A do kąta, *mysio-mysunio!*... Nie widzisz, że to *prawa* dziewczyna, a nie żadne *złe?*...

Na słowo „dziewczyna,“ zarumieniała się wstydem kobieta, lecz nie nie rzekła.

— Z Kosmacza? — dalej mruczała stara. —
Do mnie i z dalszych siół *nachodzą* ludziska.
Ty z Kosmacza?

Tu kiwała nieznacznie głową; badając zaś Ire-
nę dodała:

— A wiedzieli tam, że ty się tu wybrała?...
I wpatrzyła się w nią *świdrująco*... a oczy jej

świeciły, jak u wilka.

— *Ta*, wiedzieli wszyscy.

— A masz ty co ze sobą?...

Wzrok u starej zabłyszczał straszną jakąś chci-
wością...

— *Ta* mam dla was... — I wyjęła z chuściny
dwa srebrne grosze, dodając: — To wzięłam dla
was... Wy dacie mi jaką poradę... na moje utra-
pienie...

— A! dobrze... dawaj!... Mam ci ja różne
leki... *ta* i różne *sposoby*... Ty pewnie *sumu-
jesz* za chłopem swoim? bo widzę, że ty nie
chora...

Tu krew oblała twarz Ireny.

— A jakby mnie nie wiedzieć?... Ja-ci zaraz
poznam... Zali nie tak?

— Oj! powiedzcie mi, matko... gdzie on?...
w której się dziś znajduje stronie?...

Stara się wypatrzyła:

— To on nie z twego siola?... A może go zabrano do dworu w Łuczy...¹⁾ do waszego pana?... po woli czy po niewoli?...

Irena nie odpowiedziała.

— To go nie wzięto w kozaki dworskie?...

— On nie jest w dworskiej służbie...

Stara bystro w nią wpatrzyła się, a Irena dodała nieśmiałym głosem:

— On obcy.

— Obcy?... Przywędrował-ci na służbę za *najmita* ²⁾ do którego z gazdów, a teraz odszedł i ciebie opuścił, *zazulu*?...

— On nie żaden *najmit*... i mnie nie opuścił — rzekła kobieta prawie obrażona.

— *Ta* z kąd się wziął?...

— Ja tego nie wiem... Widziałam go kilka razy, jak szedł przez nasze siolo... On sam mnie szukał... potem ja jego zapomnieć nie mogła... I teraz — —

Nie wiedziała, jak się wykręcić, by przed starą nie zdradzić imienia. *Ta* kiwała głową:

— To może jaki... z *drużyny*?... jeśli ty nie wiesz...

1) *Łucza*, siedziba Jabłonowskich.

2) *Najmit*, parobek, sługa u gazdy.

— Eh! nie, matko — rzekła przestraszona Irena.

— A zkadże ty wiesz, gdy nie znasz, zkad-ci on jest?...

— Ale... ja matko... przyszła tu do was... bo wy macie *swoje sposoby*... Wy poznacie, czy on jeszcze pozostaje takim, jakim był dla mnie... bo mnie... ot... różne myśli nachodzą... i spokoju nie dają...

— Poczekaj dziecko: zobaczymy!...

Stara odwróciła się i zaczęła coś przebierać między ziołami.. Wziąwszy jedno i drugie, zapaliła... Zaczęło się kurzyć... i dymek pociągnął do góry.. Stara wpatrzywszy się weń, zaczęła coś przemawiać, potem spojrzała na Irenę, której cała dusza była w oku, w wnętrzu zaś swoim drżała. Znachorka wymówiwszy jakieś słowa, zaczęła potem ziewać konwulsyjnie, mrużąc tylko:

— Daleko... nie daleko... Za siódmą górą... za dziewiątą rzeką... między obcymi... i różni są z nimi... sam nie sam... Czy jest sam... Kobieta?...

I coraz mocniej ziewała. Irena wstrzymała oddech.

Stara kiwając głową mruknęła:

— Idzie do góry... to... tamtego goni... Niedobrze coś mówi... Ale ty mi wszystkiego nie powiedziałaś, dziecko... bo zakłęcia nie idą...

— Ale... wyście matko mówili.. że tam jest... kobieta?...

— Ja nie mówiła... to ono tak wskazywało... ano się potem rozeszło... Tu trzeba jego imienia do takiego zaklęcia!.

— Bez tego zioła nie wywróżą?...

— A jakbyś chciała, *zazulu*?...

— Ta... on się... zowie... matko moja... on się zowie... — I tu dodała słabszym głosem: — *Oleksa*...

— *Oleksa*?... To ci jeszcze niewiele!... Nie jeden jest *Oleksa*... *Oleksa* zowie się i ten, co go się wszyscy więcej bać muszą, niżeli króla tam, na złotym tronie...

Irena popatrzyła na starą, a ta dodała:

— Ty nie wiesz może, iż sam Dowboszczuk zowie się *Oleksa*?... A przecież-ci jego tu nie będę mieszała do twojej sprawy.

Twarz Ireny stanęła w płomieniach.

— A widzisz, żeś się przestraszyła!.. Nie powiedziawszy mi, kto twój *Oleksa*, wywołałabyś może, czegośmy obie nie chciały. Bo gdyby tu, mojemi czary przywołany, pojawił się teraz sam *Oleksa* Dowboszczuk, tyby padła, jak gromem rażona!..

— To ten Do... Dowboszczuk taki straszny?...

— Ażali ty o nim nigdy nie słyszała?... To

dziękuj *Hospodu Bohu*, gdyż zejść się z nim niebezpieczno... Wasz Kosmacz... toby cały tak ręką jeno zgarnął, a po gazdach waszych nie zostałoby ani znaku!... On, gdy szedł na Kałusz, to nasypał jeno prochu na rękę, *taj* zapalił... a potem jak-ci rzucił na miasto, miasto całe stanęło w płomieniach!... Tak, tak, nieboże. Sam król w swojej białej stolicy boi się jego, bo mu i królewskie wojska rady nie dały... Tak! tak!

Irena nie wiedziała, co tu począć... lecz stara zdawała się w tej chwili słuchać, jak gdyby czyjgo chodu... Irena zadrżała.

— Nie bój się, dziecko... to chłopiec mój podobno wraca...

— Ach! ja zaraz ztąd idę — i chwyciła się instynktowo ramienia starej.

— *Ta* się nie bój!... To nie *zwir* przecież... Czego się *strachasz, zazulu?* On *Łegin*!¹⁾.

I czempredzej stanęła we drzwiach — wchodzącemu dając znaki, że w chacie jest obca dusza.

Pokazała się teraz naprzód głowa smagława, w *kresani* z piórem głuszcza. Musiał to być rośły chłop... Obejrzał się naprzód na obie strony, a zoczywszy obcą kobietę, zrobił ruch, jakby

¹⁾ *Łegin*, parobek, kawaler, młodec.

ukrył coś pod *bajbarakiem* ¹⁾ — i tak wszedł do środka — pochylony, gdyż postać jego nie mogła się zmieścić pod niską strzechę — a włos długi, czarny, zwisał mu prawie do pasa...

Ciekawie popatrzył na obcą, wymówiwszy przez zęby: — *Pomahaj Bih!*...

— *Pomah.* — I jakby nie mogła wyjąkać słowa Irena, wpatrzyła się w obcego, który wcale nie wyglądał na *łegina* gazdowskiego.

— No, nie bój się!... Ty jeszcze dziewczka.. czy może *mołodyca*?... Ale to wszystko jedno... Nie bój się!... ja nie zły *czelownik!*

Irena w tej chwili chciałaby być daleko.

— *Ta*, co się zbliżasz do niej?... — rzekła stara — Widzisz, że się stracha...

I wyschniętą dłonią po łbie go musnęła... Ale był to żart jeno.

— *Ta* nie bijcie, *maty*.. Czy ja jej co robię?.. *Pro mene!*... A mnie co do niej! Dajcie mi co zjeść, bom głodny, jak wilk na *Strytenie*... ²⁾

— A co ci dam, *pohany*?.. *Huślenki* ³⁾ nie-

¹⁾ *Bajbarak*, ubiór wierzchni huculski, bez szwu.

²⁾ *Strytenie*, święto Matki Boskiej.

³⁾ *Huślenka*, mleko skiszone ze słodkiego, sprążonego, — zwykła potrawa u Huculów.

ma. Patrzaj-no! Ty masz tu flaszkę... Dawaj *matery!* Czy ona będzie zdychała, gdy ją pali?...

I wyciągnawszy mu z zanadru flaszkę, łyknęła czempredzej.

— Ja będę na was robił, stara?... Ja się tam napracowałem... I inni pracowali... Oł, widzicie... tu popalone... tu znowu podarte...

Oglądając się jednak na obcą, poznał, iż za wiele powiedział, — ale i ona coś poznała, bo spostrzegła broń pod *bajbarakiem*, jakiej nie noszą gazdowie... Do tego i krople krwi zaschłej dojrzała na koszuli tego *łegina*. Lecz zamiast się przestraszyć, nabrawszy ducha wprost jego zapytała:

— Wy, *łeginie*... niejedno wiedzieć będziecie na świecie... To mi powiecie...

— Ja?... A to czemu?... A co ja mam robić po świecie?... *Ta* chodzę... po lasach naszych... toż prawda!...

I wpatrzył się w nią uważniej... Oczy z niejaką obawą wyszły mu na wierzch... lecz zważywszy, że ich dwoje, a obca zaś jedna... nie bał się żadnej zdrady.

— I wy mnie za kogo macie... obca dziewczko, czy tam *mołodyco*?

— Nie macie mnie się czego obawiać... bo ja zaraz poznała. Wy z *onych*...

— Ano z jakich? — rzekł niechętnie *legin*.

— *Ta*, z *mołdców*.

Stara wpatrzyła się świdrująco w Irenę, a syn jej zrobił wielkie oczy:

— A gdyby *wam* i z *mołdców*?... To, co z tego? — rzekł. — Gdyby tak było, wy byście tego nie powiedzieli!

— Ano czemu? — rzekła Irena.

— Czemu? *ta* czemu? — dodał *legin* — Boby was strach napadł..

Irena poznała, że wpadłszy w wileżą jamę musi się trzymać silnie... a wtedy więcej może ztąd wynieść, niżeli się spodziewała. Więc rzekła:

— A gdyby i ja się z nimi znała?...

— Wy, krasawico?...

Stara przebierając w głowie swojej, dodała, zgadując czempędzej:

— Ty masz kochanka w drużynie, dziewko?...

— A gdyby i tak było?..

— No, to nas nie wydasz — odezwał się *legin* — i my ciebie nie zdradzimy... A gdyby cię ochota zebrała, nie wyszłabyś ztąd cała...

Po Irenie mróz przeszedł.. Poznała, że teraz musi taki krok uczynić, ażeby ich oboje ubezwładnić..

— Ty będziesz... — mruknęła — z drużyny Dowboszowej?... A jeśli nie z jego *mołdców*... toć przecież wszystko tu podpada jemu!...

— Toż poznasz, że my się was nie boimy... Za zdradę, wiesz dobrze, co nasz *watażka* czyni!... Kosmacz wasz zostałby, jak gdyby go i nie było... Prawda, żeby my wtedy i swoją chatę rzucili.. Ale co to u nas zwalić taką szatę, a postawić gdzieindziej drugą!... Ołeksza Dowboszczuk nie żartuje!

— Ty go znasz dobrze... to poznasz, że ja się niczego nie boję: skoro mam za sobą waszego watażkę!...

Tamei oboje się wypatrzyli. I nastąpiła chwila milczenia.

Egin spojrział uważniej na Irenę, a stara nagle zawołała:

— Twój Ołeksza... to... sam Dowboszczuk?

— Nie chciałam wam mówić... lecz skoroście odgadli...

Tu z pewną czcią a podziwem spoglądali oboje na Irenę. Ona w tej chwili panią była położenia.

— A ja głupi nie domyślił się, patrząc na jej urodę!... Ale to już nam nie do niej!... To-ci własność naszego *watażki*! Ona pewnie ta z Kosmacza?...

— A z Kosmacza, chłopie — rzekła matka — i przyszła aż do starej pytać się o niego, w której dziś stronie.

— Ano, to ja jej lepiej teraz powiem, niż wasze zioła, bo ja przecież od niego wracam..

Irenie goręcej się zrobiło w wnętrzu.

— No, przed wami można mówić. krasawico, bo wy swojego nie zdradzicie *watażki* i nas wszystkich; wy tak, jakby nasza. Byliśmy *wim* w Bolechowie mieście... het! tam daleko... Wy znać nie będziecie... Zapaliliśmy miasto... Niejeden-ci się tam upiekł z mieszczan!... Ztamtąd wynieśliśmy to i owo...

— Ja zgadła — przerwała stara — że ty niesiesz se sobą *tyi biłi*... a może i sznury koraliki?... Tamtejsze mołodyce pewnie je mają...

— *Ta* poczekajcie!... Ja przecie sam nie zjem tego...

Oczy u starej zaiskrzyły, niby u kota w nocy.

— Toć i Dowbosz tu blisko? — rzekła Irena, oddech wstrzymując.

— *Ta*, gdzie tam blisko!... On jeszcze daleko... On-ci za Łomnicą w tamtejszych borach... a komu jeno z drużyny było pilno, tego puścił.. Niejeden miał gazdowstwo swoje, musiał też wracać.. Ano inny, jak ja, ma tu starą, coby skapała z głodu, gdyby jej nie naniósł... bo co tu jest koło nas?...

— Dobry syn!... Ja to zawsze mówiła. — I zrobiła przytulające oczy, że aż Irenie zrobiło

się jakoś nieswojsko. — Ja go przecież wycho-
wała, z maleńkości karmiła...

— A bodaj to wasze karmienie!... *Chłopczy-
szcze* nieraz zdychało z głodu... a *maty* biła, gdy
jeść wołało, głodne, by szczenię jakie... Suka-ci
tak szczenięcia swego nie kąsa...

— A to ja ciebie kąsała, *psi narode!*... *Maty*
ze siebie darła soroczkę, a jego okrywała...

— Bodaj tak wyście byli zdrowi, jakeście mnie
okrywali!... Seń wyrósł już w chłopaka... a *maty*
kazała mu biegać nago, jakby *dityni*... a potem
szmacisko stare zarzuciła! Ano *choďy, wraźe,*
zimno nie-zimno!...

— Za toś ninie zdrów i jary, bo cię zimno
wysmażyło, wiatr ostry wychuchał...

Irena pragnęła niecierpliwie usłyszeć co wię-
cej o Dowboszu... a tu musiała być świadkiem
tej sceny serdecznej między synem a matką.

— I wy, Seni, wrócili? — rzekła Irena. —
Ano Dowbosz długo tam jeszcze zostanie?

— *Ta*, kto wie!... Jemu nie tajno, iż po spa-
leniu Bolechowa będą nań się teraz wyprawiać
dworskie wojska... *Ta*, może i królewskie. Jemu
to nie *pierwszyna!*

— Oj, oj! — załamała ręce Irena — Kró-
lewskie?...

— *Ta*, czemu nie? — rzekł Seń.

— To król, — zapytała Irena — tam na stolicy?... A król Sobek, wielki to mocarz!... mówią, że ma wojska skrzydlate, ano całe w żelazie?

— *Ta*, czemu król Sobek?...

— No, bo król Sobek — odrzekła Irena — toć on Turka pobił, że teraz już się nas boi... Oni dali pokój *chrystjańskiej zemli*. W naszej Polsce już ich nie widać...

— A to wy myślicie, że król Sobek teraz tam na stolicy?...

— *Abo* jak?... — odezwała się Irena.

— On-ci, kobieto, dawno już w ziemi.

— To on już nie żyje?...

— *Ta*, od kiedy!...

— A któż-ci teraz królem? — spytała Irena.

— *Ta* kto? Sas jakiś.

— Sas?... A co to Sas?

— No, Sas, to tak niby Niemiec.

— *Ta* jak?... To Niemiec nam królem?

— I pono już drugi Sas, pierwszego syn... Pano-
wie go sobie *spodobali*, *taj* zrobili swoim królem...

— Oj, to na Dowbosza i niemieckie nadciągną
teraz wojaki?... a to może jeszcze gorsze?...

— Ej, co to wojaki!.. W górach nie takie to
straszne! Co tam wojaki z *dołyny* zrobią w na-
szych górach!.. Dowbosz sam tu królem. Bole-
chów przed nami drżał.. Kałusz drżał.. Ej! co

my bo tam zrobili!... Cha, cha!... Mołodecy nasi hulali sobie w lesie potem... i *watażka* był wesół, bo sobie także przywiódł ztamtąd krasawicę... Oj to-ci krasawica, jak jodła!

Irenie w tej chwili zaczęło robić się zimno.

— Co ty mówisz?... Jaką... krasawicę?...

— *Ta* jaką?... Ano Bolechowską. *Sumowała* wam strasznie za swoimi... Ale teraz nie będzie już *sumowała*... Chybaby już była durna!... *Ta* gdzie bo taki chłop, jak *watażka*!...

Irena czuła, jak mróz ją coraz bardziej obejmuje... Starala się jednak nie dać tego poznać po sobie.

— Za *watażką* wszystkie muszą być dziewczki... *taj* wszystkie mołodyce!... Bo czy to jemu nie do nich?... A którą *watażka* dla siebie weźmie, każdemu już wara od niej.

— Ale ty mówisz, że ona.. nie jest za nim?.. Ona *sumuje* za swoimi?..

— *Ta*, niby tak!... Ale długoż ona będzie jeszcze *sumowała*?...

— Ale ty się nie bój, *zazulu* moja — rzekła słodko stara, — on i ciebie nie opuści i tamtej... Jemu więcej trzeba krasawie... To nie prosty *legin* z naszego sióła... to *watażka*!...

Irenie zaś coraz się marniej robiło na duszy. Mimo to silila się panować nad sobą.

V.

Podczas gdy Irena, szukając rady jakiej na *Ilici*, nie znalazła u starej tego za czem była się wybrała, ale dowiedziała się więcej nizeli się mogła spodziewać, — Dowbosz tymczasem w innej stronie, dalekiej, koło drugiej zachodził krasawicy.

Melanka, zrazu rozpaczając za ojcem, za matką, za swoimi, bała się obcej drużyny; powoli jednak musiała poddać się swojej doli. Śmiała dziewczyna, rosła jak jodła, a silna gdy chodziło o ratowanie swoich w niebezpieczeństwie, ujrzawszy się dziś w gronie *mołodców*, dzikich jak wilki a drapieżnych jak rysie, poczuć musiała, że jest tylko dziewczyną: uczuła się tutaj bezwładną. Stała się nawet trwożliwą, by łani. Ale czy zawsze taką pozostanie?...

Trzy dni płakała... Dowbosz się tylko uśmiechał, jako *łegin*, któremu to nie pierwszyna, jako *watażka*, któremu nic w końcu oprzeć się nie zdoła.

Ilni *mołodcy*, widząc, że *watażka* z daleka trzyma się od krasawicy, znosząc nawet fochy a korowody różne u lamentującej za swoimi

dziewki, — zaczęli powoli bezbronną zaczepiać, do niej chychocząc. *Watażka* spoglądał na to zrazu milczący, nito brytan silniejszy, kiedy słabsze pieski skaczą raz po raz naszczekując — lecz gdy jeden z nich, śmielszy a natrętniejszy, zabierał się z całym uporem umizgów do przestraszonej dziewczyny: w jednej chwili zerwał się jak dziki zwierz, porwał chłopca za włosy, a rzuciwszy nim o ziemię, zaczął tłoczyć kolanami. Wszyscy zadrzeli, widząc, że *watażka* „gniewa się.“ Wyją bowiem nóż z za pasa, chcąc krwi nieco upuścić gorącemu natrętowi, lecz dwa złamawszy mu żebra kolanem, o dziesięć kroków odtrącił nogą napastnika, i poprzestał tymczasem na takiej nauczce. Poczem odszedł i usiadł sobie spokojnie, dumając już o czem innem, jakby tu nie się przed chwilą nie stało.

Mełanka drżała, jak liść osieczyny, a *mołodcy* nawet, do wzruszeń nie łatwi, zmienili nieco barwę na twarzy; stratowany zaś, mógł się teraz dłużej lizać, poczuwszy na sobie zęby silniejszego.

Dziewczyna ciągle jeszcze była w obawie, potem zaś patrzyła na *watażkę*, jak na swego obrońcę, i mimo strachu, czuła, jako ku obrońcy, pewną wdzięczność. Trwoga przed nim, uczyniła go je-

szeze większym w jej oczach — jeszcze groźniejszym.

Trwoga ta, i uwielbienie dla jego siły a urody, budziła w dziewczynie mieszane jakieś uczucie, i coraz jej już było mniej straszno w tej drużynie, u boku człowieka, który pokazał, iż ma ramię, zdolne zawsze ją przed wszystkimi obronić.

Gdy dzisiaj porównała z nim parobki a *kawalery* bolechowskie, bardzo oni stali się nikłymi w jej oczach wobec *watażki*.

I tak coraz bardziej zmniejszał się wstręt Melanki do tego grona opryszków. Mołodecy na nią z większą uwagą dziś spoglądali, zdaleka się trzymając; wiedzieli bowiem, iż u *watażki* kulkę w brzuch wpakować, lub silnego rękami zadławić chłopca, to jakby nie kupić. Dali też pokój dziewczynie. Ona zwolna przyzwyczajała się do swojej roli; w miejsce żalu za rodziną budziła się w niej pewna duma, że ów groźny, o którym tyle opowiadają, dla niej jednej ma względy.

Gdy buszując po zapadłych ostępach nad górną *Swieczą*, nad rozworami potoków, ciągnącemi do Łomnicy, wraz z nimi drapać się musiała po złomach kamieni, przedzierać przez zarośla i gąszcz kolący, miała tu sposobność pokazania swej siły i niezwykłej wytrwałości. Z mołodeca, który się drapał do góry, dysząc, jak pies zzia-

jany na słońcu, w głos się teraz naśmiewała. Nawet sam *watażka*, groźny dla wszystkich, wobec niej coraz bardziej stawał się uległym: ona poznała, że tu mogłaby rozkazywać. Jednakże rozkazywać mogła w *dobrej* tylko godzinie; bo krew grała, nie woda, w żyłach władcy puszczał onych!

Czasem, w nocy, gdy wszyscy spali rozłożeni pokotem i sam *watażka* usnął, na myśl jej przychodziło miasto rodzinne. Widziała wtedy matkę swoją i ojca, dziecko przeklinającego — i straszno jej się robiło. Chciałaby teraz tam powrócić, lecz obraz *watażki* jak gdyby na uwięzi ją trzymał; czarne jego, żarem głębokim iskrzące oczy, czary niepokonane na nią rzuciły.

Czuła, że jest w mocy *złego*... ale *złe* miało dziś dla niej urok i moc, wobec których traciła wszelką siłę woli.

VI.

Doliny Czeremoszów, Prutu, obu Bystrzyc, roz-wory Łomnicy i Świecy, wiodły z dawna jak gdyby w świat zapadły, tajemniczy; kończył się tam świat zaludniony, deptany nogą ludzką, a zaczynał inny, kędy buszowały wilki, ryś i zbił skakał z drzewa na drzewo, niedźwiedź czatował na słabszego zwierza i gdzie pojawiał się wprawdzie człowiek, ale straszniejszy nad to wszystko.

Nigdy jednak głębie gór tych i borów nie były tak straszne, jak w on czas kiedy się zjawił tam ze swoją drużyną Dowboszczuk!

Od kresów bukowińskich aż do źródeł Świecy przelatywał on nieschodzone puszcze miejsc tych zapadłych, a z gór zbiegając ze swoją drużyną, zagrażał poblizkim dworom i osadom. Drogi tam wszystkie stały się niebezpiecznemi.

W grodach, otoczonych ostrokołem, w zamkach, obwarowanych podwójnym, potrójnym nawet wałem, musiano dziś trzymać liczne milicye, konne a piesze: uzbrajano się jakby w kraju nieprzyjacielskim, tak, jak gdyby tam w sto-

licy króla nie było, lub Rzeczpospolita nie miała żadnego wojska. Chaty nawet gazdów, co dostatniejszych, w kotlinach gór, trzymały się obronnie.

Dymiące się dziś pogorzelnisko Bolechowa wywoływało przestrasz we wszystkich dworach i we wszystkich miastach podgórskich, mieszczanie podnosili lament, żydy przestraszone znaszali dary podstarościm a komisarzom pańskim, by ich raczyli bronić.

Z Bolechowa, z Doliny, z Kałusza, raz w raz przybywali ludzie do Łuczy, błagając o pomoc najpotężniejszego wówczas w tych stronach pana, jakim był pan na Jabłonowie, Łanowcach, Lisiance i t. d., z Prusów Jabłonowski.

Po niejakej naradzie ze swoimi komisarzami wysłał on z Łuczy list do Potockich, aby celem obrony ziem szerokich i miast całego Podkarpacia, wspólnemi siły wielką dziś wyprawę przygotować na tego *herszta wszelkich niecnót i nieprawości*, jak go nazwał. Szlachta okoliczna, zagrożana ciągle, przyobiecała również wziąć udział ze swoimi dworzany, hajduki i pajuki.

Z Łuczy, z Nadwórny, raz w raz biegły gońce do generalnych rządów a komisarzy, by czemprędzej przysposabiali milicje dworskie do wyprawy w głębokie góry. Dragony, kozaki i tatarscy

ry dworskie przemieniano w piechury, uzbrojone w garłacze, samopały, oszczepy, krótkie kordelasy... Po zamkach lano kule, Niemcy — puszkarze od dział, przysposabiali proch strzelniczy. Po dworach mniejszych szlacheckich, klepano kule z żelaza lub ołowiu, gotowano „siekanieć“, ćwiczone nietylko lud rycerski, ale pacholki, kuchty i forysie, do obrotów w gęstwinach lasowych; — uczono naciągać kurki samopałów, które za uderzeniem na tej nowej wówczas broni przez potarcie zapalały proch na panewce; — gdzieindziej znów trzymano się jeszcze dawnej, starej, ciężkiej broni, którą trzeba było pobudzać lontem zapalonym. Dla wielkiej drożyzny palnej broni szwedzkiej i francuzkiej, zbrojono pacholki i wybrane ze siół chłopcy w ciężkie nawet łuki a krótkie noże, używane na dziki.

Nietylko w dobrach księcia-wojewody z Łuczy i panów Potockich ruch był wielki, słano gońce również i do zamku pistyńskiego, ażeby także Ponińscy przyczynili się do wspólnej wyprawy, — co też przyobiecano, gdyż zarówno Pistyń, jak i osady ponad Pistyńką opryszków nieraz mieli u siebie w gości. Kosowscy zaś na zamku swoim w Kosowie, musieli odmówić: bo choć zamek ich, potrójnym wałem obwarowany, silny i bezpieczny, mógłby część swojej wysłać załogi,

lecz jako już na kresach leżący rzeczypospolitej, lubo się dziś nie bano hord tatarskich, musiał zawsze mieć się na baczności przed napadem jakich łotrzyków wołoskich.

Liczne zatem zbierały się roje herbowych i nieherbowych.

Na ciężkich kołach, po drogach uciążliwych, zwożono raz w raz wory kaszy i mąki, kufy piwa i miodu; pisarze prowentowi zapisywali liwerowany przez żydów prowiant dla licznych milicij, półsetki płótna, sukno grube i całe kupy skór wyprawionych i niewyprawionych.

Nareszcie zaczęto już wysłać co śmielsze pobereźniki, obyte ze zwierzem lasowym, na przespiegi w gór głębie; dodawano im co najśmielszych dojeżdżaczy, jako lud od dziecka wywiczony do tropienia, do narażania się na kły dzika, na łapy niedźwiedzia. Ci też, obszyci prawie w skóry, w skórzanych kaftanach i takichże hajdawerach, zaopatrzeni w blaszane przyłbice, spuszczone na oczy, dla przedzierania się przez gąszcz kolący, uzbrojeni w garłacze i krótkie kordełasy — zapuszczali się w głąb puszczy, by powziąć języka, kędy się dziś oddziały Dowbozowe obracają.

Niejeden śmiałek nie wrócił ztamtąd, gdyż go wilki zjadły, lub zeszedł się z niedźwiedziem;

czasem który niebaczny zaczepił dzika, chcąc mu w gardziel wepchać kordelas, lecz gdy żelazo nieszczęśliwie nie weszło tam po samą rękojesć, odyniec wtedy, rozwścieklony, w mig rozpruł kłęb przeciwnika. Nie odstraszało to jednak innych, chcących dawnym zwyczajem użyć białej broni w tych ze zwierzem zapasach.

Od ludu górskiego nie zawsze można się było dowiedzieć wszystkiego, co mu o opryskach było wiadomo, gdyż jedni trzymali z niemi, drudzy, z obawy przed ich zemstą, milczeli.

Po cerkwiach, kościołach, po żydowskich nawet bożnicach, odprawiano modły na intencję szczęśliwej wyprawy.

Zbierały się liczne hufce.

Dzielono się na cztery oddziały. Dwa z nich ruszyły dolinami obu Bystrzyc w górę; mniejszy, składający się głównie z nadwornego żołnierza dworu pistyńskiego, pociągnął dalekim rowem Prutu, gdzie się teraz najmniej herszta tego spodziewano; największy zaś oddział i najlepiej uzbrojony, różnych panów a szlachty, udał się do Perehińska ¹⁾, zkąd doliną Łomnicy miał

¹⁾ *Perehińsko*, obszerna wieś z cechą po części miasteczka, u podnóża Karpat, na początku górskiej doliny Łomnicy. W dolinie tej, o milę od Perehiń-

operować, tam bowiem, podług wszelkiego słuchu najprędzej spodziewano się zaskoczyć groźnego *watażkę*. Inne oddziały miały mu tylko zamknąć drogę na wschód, by nie umknął ku Czarnohorze, w tamtejsze nieschodzone lasy.

W Perehińsku, jakby na wstępie do gór wysokich nad górną Łomnicą, zebrały się milicje pojedynczych panów, przeznaczone do oddziału głównie operującego.

W chatach gazdów tamtejszych biwakowali dziś nadworni żołnierze różnej broni i różnych znaków.

Pobereźnicy i inni chłopci lasowi wracali z przespiegów, jeden po drugim, przynosząc wieści, iż Dowbosz ze swoją drużyną gości właśnie w tych stronach, w głębokich górach, gdzie aż koło pasma *Arszyc*, kędy noga nie zachodzi ludzka, to znów między *Throwyszczem* a gromadą dalszą gór bliżej nieznanych. Inni mówili, że jest już na węgierskiej stronie.

W bliskości Perehińska, na *plaju* pobrażnym Łomnicy, wiodącym ku Jasieniowi, pokazywano im wychylające się gór wierzchy, należące do

ska, w głębi gór, jest jeszcze jedna tylko wieś, obszerna, *Jasień*; dalej dziś tylko tartaki i leśniczówki, dawniej zaś była tam dziec zupełna.

grupy *Ihrcowyszca*. Ludzie tamtejsi zwali podłużny szczyt *Zapłata*, wyższy zaś stożek *Wysoką*; w razie jaśniejszej pogody, wychylało się wyraźniej więcej szczytów. W tamtejszych stronach przebywać dziś musi Dowbosz.

To dodawało otuchy porucznikom i namiestnikom nadwornym i biorącej w wyprawie udział szlachcie pomniejszej; byli też wszyscy pewni, że dojadą dziś końca hersztowi rabusiów karpackich, przeciw któremu już i królewskich używano wojsk, chociaż je nieskoro zwykle ruszano. One do wypraw w górach nie bardzo były sposobne; tak liczny jednakże, jak dzisiaj, i tak dobrze zorganizowany, nigdy jeszcze nie wybrał się oddział.

Na wozach przybyły już całe kufy piwa i miodu, wozy z mąką i krupami, stopy mięsiwa wędzonego, solonego: bo tam w górach nie ma żywności... trzeba wszystko mieć ze sobą.

Z wozów zaczęto już pakować na juki końskie, gdyż tam dróg żadnych nie będzie.

Biwakowano czas niejaki w Perehińsku, i dobrze trzeba było zaopatrzyć się na dni dalsze, w których nieraz wypadnie suszyć dzień jeden i drugi, a może i całe tygodnie, bo, kto wie, jak tam długo przyjdzie uganiać się po pustyni!

W dniu oznaczonym ruszyła część oddziału. Wojsko, uzbrojone w samopały a garłacze, raźnie

ciągnęło, gdyż dnia tego jasne wytoczyło się słońce, i w świetle porannem zabłyszczały znaki wojenne.

Dolina Łomnicy zaczęła się powoli zwężać w węższy rozwór, a w godzinę drogi pokazały się chaty ostatniej w tych stronach osady, dzikiego jeszcze wówczas Jasienia.

Nie była to wieś ludna, gęsto zabudowana, jak dzisiaj, wtedy czerniały po zboczach, wzdłuż prawego brzegu rzeki, tu i owdzie, pojedyncze tylko chaty, mizerne, dranicami pokryte, mało co po nad ziemią wystające, z których tu i tam wzyierały lękliwie twarze mieszkańców, ogorzałych drapaniem się po górach, narażonych na różne zawięje, — nieśmiałe postaci w czarnych koszulach, z długim, niedbale poniżej ramion wiszącym włosem.

W innych chatach, na widok żołnierzy, pocho- wano się nawet ze strachu, jakby ci ludzie mie- nie im wydierać mieli. Gdzie którego z Jasień- skich zdybano, wypytywano się, czy nie mógłby co więcej powiedzieć o drużynie Dowboszowej, lecz najczęściej udawał chłop przestraszony, że nic nie wie i niczego się nawet nie dorozu- miewa.

Gdy już uszli kawał drogi dzikiem tem sio- łem, odezwał się pan namiestnik Jabłonowskiego milicyi nagle do pana Zaręby:

— O! o! na prawdę!... tam wysoko... widzi Waś?... za świerkiem stoi człowiek...

— Albo co? — zapytał tamten.

— Co Waś myśli?.. On wypatruje... z uporem... o! o! a teraz, mospanie, wydrapał się w górę, jakby kot... ano znikł-ci już.

— To wygląda na przespīgi — ozwało się kilka głosów. — Oj, będzie Dowboszczuk wiedział, gdzie my się teraz obracamy...

— Patrzcie! patrzcie!... tam bo hajduki Potockiego kogoś wiodą... Oho! już przed porucznikiem!... Ciagną z niego... Ano, czy pies ten co powie?... Ej! nie chce?... Dalej z nim na gałąź! Założę stryczek! Niechaj podynda!...

Posuwają się dalej — a tam znów na błoniu za wsią, koło bydła kilku chłopaków jasięńskich, czarniawych, na poły nagich, z długim po pas prawie kędzierzem, na widok wojska tego czempredziej wydrapało się, jakby młode rysiaki na jawor gałęzisty... Jednemu z hajduków przyszła pustota do głowy i zaczął trząść gałęziami tak, że stracił na ziemię dwoje chłopiat mniejszych... Przestraszone zaczęły uciekać z szybkością kotów. Jeden zaś z chłopaków skoczył przelękniony w rzekę i przykuczawszy posuwał się dalej pod wodą, potem zaś wychylił łeb mokry, świecący, a po głębszej dalej wodzie, z wysileniem

i strachem niemałym, bijąc nogami, to wyciągając je na sposób płynącej żaby, dopadł przeciwnego brzegu, dysząc jeno z zaleknienia. Tu czuł się bezpiecznym, a żołnierze w głos się śmiali.

W dalszym pochodzie zdybywano jeszcze konie, pasące się po mokrzynach, między strugami ciągnącemi się do Łomnicy. Żrebce, na widok niezwykły ciągnącego oddziału, patrzyły z początku lękliwie, potem wierzgnęły kopytami i dalej w górę pognały na zbocza, podobnie jak to czyniły stworzenia ludzkie. Nawet i jałówki stawały gdzieniegdzie zdziwione, a po chwili również wierzgnęły i z podniesionym w górę ogonem uciekały, dokąd mogły. Jedne tylko kozy poglądały śmieiej z wyższych zboczy.

W Jasieniu wyszukali pobereźnicy człowieka, który, jako lepiej znający okolicę, pomagał im, gdy panom starszyźnie nie umieli czego wytłomaczyć.

I wnet przywoławszy go, zagadnął pan namiestnik milicyi Jabłonowskiego :

— Ty będziesz wiedział, chłopie, co to za potok, któryśmy właśnie co przeszli?...

— To proszę *waszoi myłosty*... ano nasz *Ja-wirowyj potik*... on ninie mały... ale i on czasem ma *swoji humory*...

Kroczyli mokrzynami — dolina bezludna sta-
wała się teraz węższą.

— A jak wy zowiecie tę górę za rzeką? —
rzekł pan namiestnik, wskazując na prawo.

— To... proszę *waszoy myłosty*?... To jest
Czuta...

Słońce w tej chwili nieco przysłoniło chmury
i *Czuta* przybrała inną szatę, barwy niby stalow-
wej, — lecz wnet znowu zajaśniało... i *Czuta*
zmieniła raz jeszcze ciemny swój koloryt, była
teraz cała jakby inna w jasnych blaskach.

Pan namiestnik wpatrzył się w nią, jak gdy-
by coś zajęło jego uwagę, i rzekł do pana Zaręby:

— Patrzej Wasze... Coby to było?...

— Przecież to — ozwał się tamten — nie
roje *hostium* tak po niej maszerują do góry?...
A gdzieby, mospanie, tego-ci hultajstwa tyle by-
ło?... To prędzej stado owiec do góry się dra-
pie?... Ale cóż-bo tam tego!... Ano toć nie owce,
nie żaden *pecus*!... To jakby bór wszystek z wia-
trem-ci, mospanie, uciekł do góry. Tfy! to jakieś
tumany djable, czy co!...

A przywołany chłop jasiński wytłomaczył pa-
nom, iż to ani owce, ani też las do góry pędzą-
cy... lecz tylko cień szary od chmury na niebie
takie tu stroi dziwa, i że to często w górach da-
je się widzieć.

Za *Czutą*, w górę doliny, siniał przed ich oczyma wysoki grzbiet, który tameczni ludzie zwali *Schlis*.

Po lewej ręce, jak gdyby gór nie było, tylko terasowo wznosiły się różne wzgórza. W dali, w ciemnym szafirze jaśniało zaś wysokie pasmo, które znali i pobereźnicy jako *Hryńków* — a gdy się tam wojsko zbliżyło, stanął tenże przed ich oczyma, ogromny, czarny jak sadza, pokryty nieprzebytą masą świerków.

Gdy się zbliżono do podnóża *Hryńkowa*, Łomnica tu się szeroko rozlała, podzielona znów na więcej ramion, które w tem miejscu całą prawie zalały dolinę. Zebrała się starszyzna, rozprawiając, któredyby tutaj się przeprawić — oglądali się bowiem za jakim przechodem na przeciwne brzegi. Leśnicy i jasińscy ludzie powiedzieli im, że tu nie ma już drogi, gdyż ramię rzeki boczne, aż pod zbocze strome *Hryńkowa* płynące, nie pozwala iść brzegiem. Chcąc nie chcąc musieli wejść po kamieniach w wodę szumiącą, po same prawie kolana. Niejeden, z dalekich płaszczyn szlacheć, a nawet pacholik, nie znający rzek górskich, ciężko obciążony, pośliznął się na kamieniu, po którym biegła woda, i runął jak długi, skąpawszy się cały... Nic to jednak. Wstawał czempredzej, i przemokły musiał kroczyć da-

lej, wywołując tylko wesołość u towarzyszy. Ddawano sobie ducha, gdyż niejednemu było tu już cierpko: dolina stawała się bowiem coraz dziksza.

Minęli już *Szumleczy* potok, jak go tu zwano. Potok w tem miejscu łącząc się z Łomnicą, tworzył teraz jak gdyby szeroko rozlane jezioro: dolina się rozszerzyła, góry po obu bokach nieco rozstały — i znów więcej odwagi nabrano, bo teraz nikt ich na tej przeprawie nie napadnie. Przeszli drugi wkrótce potok, *Płajek*. Coraz wyraźniej wznosiła się w tej chwili przed nimi wysoka, podłużna, nieco poszczerbiona *Zapłata*, jako pierwsza z wielkiej a *niedobrej* grupy *Ihrowyszcz*, jak tu ich objaśnili pobereźnicy.

— A dlaczego to Ihrowyszcze *niedobre*?...

— *Ta* czemu, proszę wielmożnego pana? — odrzekł pobereźnik — bo tam wszelaka, mówią ludzie, bieda się znachodzi... W kamieniach *Serednej*, ano i *Wysokiej*, mają się kryć, uchowaj nas Boże!... upiory skalne... a może inne *złe*.

— Upiory skalne?...

Tu widać było niemały przestrah na twarzach chłopów, noszących *barwę* kozaków dworskich lub tatarów. Herbowi mniej się bali, każdy ścisnął tylko szablę lub chwycił za dziryt, — ale i taki, gdy pomyślał, iż to sprawa z duchem, a nie

z człowiekiem, nie miał ochoty zdybać się z podobną siłą nieczystą.

Gdy tak gwarzyli, dolina nagle zwężyła się w wązki tylko przełom, bardziej dziki i bardziej kamienisty... Łomnica, przyparta do zbocza, najezzonego złomami głazów, ze strasznym po skałach pędziła tu łoskotem, kipiąc warem, rzucając dokoła piany białe. Ze strachem musieli uważnie przesuwać się po głazach nachylonego do rzeki zbocza.

Wtem nagle usłyszano z góry po nad głowami kilka strzałów — i zaczął sypać się grad kamieni!

Powstało niejaki zamieszanie, gdy kilku stoczyło się do wody; z pospiechem jednak zakomenderowano ognia w górę, i nierówne teraz, lecz gęste zaczęły na oślepiec lecieć do góry strzały, a ztamtąd dwa się w dół potoczyły trupy, zwisając na zawadach skalistych.

Opryszki w takim ich miejscu opadli!... Czempredziej wydobyto się z ciasnego przełomu na szerszą dalej dolinę. Tu byli już bezpieczni.

Zakomenderowano czempredziej środek zająć kotliny, jedna zaś część i to najśmielszych a obytych z górami, wydrapać się czempredziej miała na zbocze, by rabusiom przeciąć drogę w dalszą górę głębiej.

Lecz daremna była to robota: zanim oni się wydrapali, tamci już, jakby żbiki, kocim chodem tu i owdzie powyżej migając między świerkami, pobiegli w głąb dalszą, i tylko kilka daremnych od milicyi padło strzałów.

Ha! będzie teraz cięższa praca, gdy się zapuszczą w głąb bezdrożną, i zdybią się z całą szajką Dowboszową. Tu w *Płytkach* była prawdopodobnie część jeno, wysłana na zwiady, usiłująca małą garstką skorzystać z terenu i zmiażdżyć oddział, lecz był on liczniejszym aniżeli sądzili.

W tej w kotlinkę nieco rozszerzonej dolinie Łomnicy postanowiono spocząć, zanim inne nie nadciągną gromady, do oddziału należące. Właśnie też wróciła na odgłos strzałów straż przednia, co naprzód była pociągnęła doliną, a którą nieprzyjaciel naumyślnie przepuścił. Obawiać tu się teraz niespodzianego nie potrzebują napadu, iżby ukryci w miejscach niedostępnych opryszki szkodzić im mogli. Przestrzeń tutaj zanadto obszerna, ażeby strzał z ich *puszek*, lub z łuków puszczone pociski, z otaczających zboczy mogły aż tu ich dosięgnąć; do walki zaś orężnej w natłoku opryszki nie odważą się: za wielka bowiem jest tu liczba silniej uzbrojonych. A gdy nadciągną jeszcze nowi, nie wymknie się im dziś i herszt opryszków!

W samym środku kotliny ¹⁾ zatarasowano się tymczasem — i zaczęto się posilać. Dokoła nich roztoczyła się uroczym kręgiem przepyszna gór panorama. Od zachodu wznosił się dumny *Sehlis*, siniejący, obok którego ciemniał niższy *Todor*; ku południowi zaś, gdzie się zebrały teraz czarne deszczowe chmury, wychylił się z długiego łańcucha *Arszyc*, czarny *Mulij*, okrągły, w czarnej szacie z kosodrzewiu, zciągający do siebie mgłę deszczową. Od wschodu zdawał się znów zniżać lesisty *Hryńków* — a wyższa odeń *Zapłata* piętrzyła się wysoko. Od strony jednak *Jasienia* krąg ten gór niby się rozrywał.

Teraz nadciągnęły z tyłu inne gromady, bez szwanku. I była radość między wojskiem, że się większa zebrała już liczba.

Po jakimś czasie nadeszły i konie, objuczo-

¹⁾ W roku 1885 przebywał autor niniejszej powieści w miesiącach lipcu i sierpniu w *Jasieniu*, z kąd wielokrotnie przechodził całą tę wspaniałą górską dolinę; prócz tego robił wycieczki na najdziksze tutejsze szczyty i pasma: z własnego zatem poglądu odmalował tu wszystkie w utworze tym wspomniane strony, po większej części nader jeszcze dzikie i niemałych trudów wymagające od zwiedzających.

ne na dalsze dni żywnością, pod osłoną zbrojnych chłopów dworskich.

Dziś już wszyscy mogą być pewni, że w górach tych pustynnych z głodu nie zemrą.

Tymczasem chmury od południa gęstsze, spiętrzyły się nad *Zapłatą* i kopcem *Malego*, reszta zaś gór przezieriała w przezroczystej gazie, lekko się zarysowując. Spodziewano się deszczu, ale górscy ludzie zapewniali, iż tu słońce i pogoda przychodzi niespodzianie: nikt naprzód tego nie odgadnie.

I w samej rzeczy czarne masy gdzieś dalej pociągnęły, a gaza przezroczysta coraz stawała się cieńszą, bardziej przejrzystą — i zdawała się nareszcie zupełnie rozwiewać.

Ruszono zatem dalej. Większy teraz był szcęk, gwar, tętent, a rzenie koni. Tak się urządzono, że szła naprzód przednia straż, uzbrojona w broń co najlepszą; za główną masą postępowała straż tylna.

Piękna, zielona kotlina, dla oka niby kręgiem gór różnobarwnych zamknięta, teraz zaczęła się wydłużać w bardziej podłużną dolinkę ¹⁾. Wkrótce zdawała się znowu zamykać i stawała się nader

¹⁾ Dzisiaj są to tak zwane *Riwnie*, czyli *Ostodora*, od tartaku i leśniczówki tego nazwiska tak zwana; dawniej głusza tu tylko pustyń panowała.

wązką. Tu zwrócić musiano większą baczność i nie można było spuszczać z oka zboczy pobliskich, zarosłych borami, — choć te zdawały się zbyt strome, ażeby się na nich utrzymać mógł oddział jaki Dowboszów. Mimo to z ostrożnością postępowano, bo opryszki umieją, jakby pazurami, spadzistych trzymać się stoków i choćby wiszących nad przepaścią.

Atoli zaraz tu pasma gór ponad doliną mocno się podniosły, nader stromo, tak, że zdawały się tykać nieba. Strach i groza przejmowały patrzących w górę. Po prawej ręce, za rzeką, z hukiem a gwałtem po głazach pędzącą, wznosiło się odrazu tak strome pasmo *Podlutego* ¹⁾, że tu ptak nie utrzymałby się na stromej ścianie, a nie dopiero człowiek.

Obrano zatem to miejsce na nocleg. Lecz trzeba tu było przeprowić się przez wodę, a rozłożyć na drugim brzegu, przypierając się do skalistej ściany, w górę strzelającej.

Cały też tłum zaczął się walić do rzeki, w miejscu, gdzie woda wartko pędząc nie sięgała pasa.

¹⁾ Pod tem pasmem jest dziś również i miejscowość tego nazwiska, składająca się z letniego domu metropolity lwowskiego i innych zabudowań.

Ogromny powstał tu szum, war i prysk wody, pod tyłu stopami ludzi a kopytami koni.

Zaczęto teraz powoli rozkładać obóz.

Służba dworska, nieherbowi, od stajni, od kuchni dworskich, zabrali się czempredziej do rąbania gałęzi i całych świerków; zaczęto teraz na nocleg robić na tem miejscu pokrycia szałasowe na wypadek deszczu, — inni rozpalali ogień. Zdawało się, jakby tu powstawała nowa osada, na nietkniętej nogą ludzką ziemi.

Była narada starszyzny, namiestników i dowódców pojedynczych milicyj pańskich, do której przywołano, jako bardziej tu obeznanych z temi stronami, ludzi lasowych i pobereźników.

Postanowiono teraz naprzód wybrać na ochotnika śmiałków, którzyby odważyli się pod zasłoną nocy gąszczem lasowym podsunąć w głąb na przeszpiegi, ażeby wybadać, gdzie się obecnie siły Dowboszowe obracają, i jakby tu zająć je nie spodzianie.

Byli tam ludzie Perehińscy, zapuszczający się nieraz w głąb daleką za zwierzyną; byli siłacze, co się Liedźwiedzia nie bali z kordelasem w ręku; byli i tacy, co się puszczali niegdyś w opryszki, ale od dłuższego już czasu pomagali teraz do tropienia rabusiów. Wiedzieli oni, jak to hojnie wynagradzają za to komisarze i burgrabowie

w imieniu swoich panów. Stańło zatem kilkunastu na ochotnika, nie mających nic do stracenia a więcej do zyskania, — ludzi odważających się, samopas lub po dwóch, zapuszczać w różne strony na przeszpiegi, w dziez nieznaną.

I zaraz wymknęli się cichaczem na tę niebezpieczną wyprawę w głąb lasów, — a tabor cały, rozstawiwszy warty, ułożył się do noclegu.



VII.

Zeszła tak noc, i zeszedł dzień następny... zeszła i druga noc.

Na trzeci dzień wrócił pierwszy z rozestanych: był to hajduk Potockich, chłopak gorącej krwi a ochoczy, jak mała. Ten koniecznie wtedy się wyprosił, ażeby go posłano na zwiady.

Zasapany, strasznie obdarty i pokrwawiony, powtarzał tylko jedno i to samo:

— *Bihme! nyma!...* Ni słychu o nich... *Hdeś ujszły...* Może już w naszych stronach... albo i *na Wuhrach...*

Starszyzna skupiona nie dała temu wiary. Hajduk, widząc, zabłąkał się i z niezem wrócił.

Tak samo dwóch jeszcze powróciło, na żadne nie natrafiwszy ślady. Opowiadał tylko z nich jeden, jaką miał rozprawę z dzikiem. Bo gdy mu zręcznym skokiem a silnym rzutem wbił kordełas w gardziel po rękojeść, zaledwie sam uszedł śmierci, odyniec zaś pobiegł dalej z żelazem a krew z niego lała się jakby z cebra. Lecz nie było czasu iść za nim.

Wkrótce powstał rumor: zaczęto skupiać się, bo przybyło teraz dwóch, którzy coś więcej mają do powiedzenia.

Zebrała się starszyzna.

Pan namiestnik milicyi Jabłonowskich zagadnął wnet pierwszego z przybyłych. Był nim pobereźnik z pod Perehińska, chłop jak niedźwiedź, z głęboką od dawna na łbie kresą i na pół wygryzionym przez drapieżca jakiegoś policzkiem. Musiał on nieraz być już w nielada opałach.

— Wielmożny panie — rzekł zasapany, — szliśmy oba, ja i on. — Tu wskazał na towarzysza w tej wyprawie, dojeżdżacza w służbie Potockich, niewielkiego chłopaka, ale drapieżnego jakby ryśiak. — *Taj* tak szliśmy... brzegiem lasu, ciągle trzymając się *wam* brzegu tej wody...

— No i co dalej?... gadaj prędzej, chłopie! — odezwał się niecierpliwie pan porucznik Potockich.

— Zaraz, wielmożny panie... bo to człowiek musi wszystko powiedzieć, jak należy... A więc idziem ciągle gąszczem... mokro nie mokro... aż zaszliśmy w miejsce, gdzie się druga z zachodu, tak samo wielka woda ¹⁾ pokazała w ciemnych

¹⁾ To jest dzisiejsza *Mołoda*, potężny potok, z zachodniej strony ciągnący przez gęste lasy w głębo-

lasach: Jasińscy ją znać *wam* mają. Ja tu nie chodził. Co tu teraz robić?... myślimy sobie... iść brzegiem tej, czy tamtej?... Ano tak mi coś mówiło: Idź brzegiem tamtej!... ale i od tej zbyt się nie oddalaj! ażebyś mógł nazad trafić... Wehodzimy w wodę... Trzeba bo ją przejść... Szukamy brodu... a tu huczy, *taj* szumi, że człowiek na prawdę ogłuchł!... Ano mój chłopak, jak *wam* się zapuści, toć wpadł *po sam pojas*... i nuż borykać się z wodą! skąpał się *jucha*. Ano, jeszcze bo czujesz? — dodał spojrzawszy na chłopaka, który wstrząsnął tylko głową i odezwał się:

— E! co bo mówić panom, że-ci się człek trochę napił wody!...

— Ano, bo i napił... Gdy *wam* go porwało... człowiek myślał, wielmożni panowie, że się chłop już nie wydostanie... ale on *wam* łeb wychylił, *taj* znów się zapadł... ale się jakoś wydostał, nieco poturbowany.

— No, i co dalej?... To marne!... Gadaj dalej, chłopie!...

kich górach do Łomnicy; uchodzi do niej w cudownej kotlinie, gdzie dziś *Osmołoda*, tj. tartaki, chałty robotników i karczemka. W dalszej jeszcze głębi wpływa do *Mołody Mszana* a do tej ostatniej *Mszanka*.

— Dalej, proszę wielmożnego pana, zabłądzi-
liśmy nieco w gąszczu. Las tam... oddaj się
Bogu!... Ani się przedrzesz!... Chłopczyśko po-
darł się i poszarpał, a nie chciał spuszczać skó-
ry na lice... Przebijamy się dalej... Aż tu z da-
leka coś się zaiskrzyło tam między świerkami...
Dalibóg! dwie świeczki... Chłopak mój zobaczył
cztery świeczki. To wilki, mospanie.

— Ej! wilki? — ozwało się niechętnie kilka
głosów.

— Zaraz, proszę wielmożnych panów, będzie
z tego coś!... *Ta* my bierzem się do samopałów,
a postępujem ciszkiem... Ano mojemu chłopczy-
skowi zaświeciły ślepie, niby u kota... Poczekaj,
chłopie, będzie-ci tu polowanie!

— Jak to, mospanie? — odezwał się pan po-
rucznik, — chciałeś strzelać, głupi... i dać o so-
bie znać opryszkom?...

— Ej, gdzietam! wielmożny panie... nie po-
trzeba było: bo on tam siedział na drzewie...

— Kto taki?...

— *Ta*, niby *ten*... Wylazł *wam* był na świerk,
a cztery bestye dokoła pniak obstały... ano cze-
kały, póki aż nie zlezie... Człowiek myślał, że to
swoj... jeden może z tych, co wyszedł na zwia-
dy... Dlategośmy biegli na ratunek chłopu. Pa-
trzymy... a ten się wychyla niżej... i jak-ci pal-
nie toporem, — od razu rozszczepał łeb jednej
z bestyj, a drugie zaraz ją rozszarpały. Mój

chłopak, jak był gorący, tak *wam* wypalił z garłacza swego... ubił drugą... a tamte dwie czempredzej pognały... Aż tu ten na świerku, uwolniony, czempredzej *wam* zeskoczy... i dalej w nogi!... Człowiek dopiero poznał, iż to był opryszek...

— Opryszek?... — I tu się bliżej skupili inni, ciekawi.

— Tak, opryszek, wielmożni panowie!.. Ja zaraz zmierzył się i palnął w samą nogę łotrzyka. On się zachwiał... lecz dalej chciał zmykać... Ale tu mój chłopak, jak skoczy... jednym susem... to już był mu na karku i zwałił chłopca, że się ani oglądnał, gdy mój chłopak wbił mu pazury swe jak ryś w gardziel... Ano trzymał, póki ja *wam* nie nadbiegł, *ta* nie przyparł szelmę kolaniem, aż mu zaczęły trzeszczeć kości.

— Aleście przecież nie zabili szelmy?

— *Ta*, jakby?... A gdzieby człek wziął wtedy języka o tamtych!... Myśmy go jeno trochę poturbowali... potem zaczęli wiązać, by go tu przywieść przed wielmożnych panów... Ten nam powie... Ale szelma, jak *wam* się odwinie!.. Byłać jeszcze szarpanina!... Ano go wleczem związane go... Będziesz teraz prawil, nieboże, panom naszym, kędy tamci?... Ba! ale i nie będziesz prawil... Patrzymy, a on jeno łypie oczami... ziewnął raz, drugi... i wyciągnął się..

— A bodaj was!... żeście nie mogli żywego...

— *Ta* jak, proszę wielmożnych panów?... My go jeno trochę poturbowali... a w takim to przecie dusza twarda?...

Choć tu się niczego nie dowiedziano od opryszka, jednak był to znak, że oddział Dowbo-szów nie odszedł daleko, a *watażka* gdzieś tu jeszcze gości... Nie daremna zatem będzie dziś wyprawa!...

Gdy tak czekano jeszcze na innych, co mogą powrócić i przynieść języka, wtem od strony, gdzie potok rwący ¹⁾ ze stoku zachodniego zbiega do Łomnicy, zbliża się z pośpiechem gromadka ludzi... i drudzy się wnet do niej przyłączają. Dwaj to wysłani na zwiady, wiodą związanego opryszka. Udało im się na zboczach *Arszyc* ²⁾ pochwycić zbója.

Przywiedli przed starszyznę. Będą z niego teraz ciągnąć... Niechaj mówi! Ależ bo to chłopi-

¹⁾ Jest tu mowa o *Kamieńcu*, biegnącym ze zboczy po zachodniej stronie do Łomnicy, pod samym *Podlutym*.

²⁾ *Arszyce*, na dwie przeszło mile długie pasmo karpackie, podłużne, nader wysokie a dzikie, ciągnące się w kierunku od zachodu na wschód, wzdłuż *Mołody*, *Mszany* i *Mszanki*.

sko nielada, czarny z kosmatemi kędzierzami, na piersiach porosły włosem. Patrzył tylko z pod oka, chyląc się ku ziemi, raz w raz powtarzając: — *Bihme!*... *ja ne snaju* .. Ja ... nie opryszek...

— A coś ty za jeden, łotrze? — rzekł pan porucznik.

— *Mene poimały ony* .. Ja gazda z sioła...

— Ano, z kąd ty?

— *Ta* z kąd, *pane myłost wy?* .. Ja wam z *daleka*... Ja z *Zelonej*.

— Jest tu kto, co zna to sioło?

Był tam pajuk jeden, rodem ze *Zielonej*, który spojrzawszy na spętanego, zaraz zaprzeczył; po odzieniu bowiem poznał, że ten nie może być ze *Zielonej*.

— Gadajże prędzej?... Kędyż wasza szajka?...

— *Bihme*... *ja dobryj czelownik*... Ja ich nie znam. Porwali mnie... a teraz gdzieś pognali. .

— *Bresze*, jak sobaka... Zaraz tu damy mu radę, mospanie, i będzie gadał..

Zaczęto ściągać zeń *kieptar* ¹⁾ i pas, potem resztę odzienia... Próbowano kłuć go teraz ostremi grotami, że krew tryskała... lecz opryszek zaciął

¹⁾ *Kieptar*, krótki kożuszek huculski bez rękawów, wzorzyście wyszywany.

tylko zęby. Pan porucznik kazał go przygrzewać zapalonem łuczywem i przypiekając tu i owdzie zmusić do zeznań.

Skrzesano ogień, wyszukano łuczywa, zapalono smolne szczypy i przytknięto mu do obnażonych pleców, a potem do kędzierzy na piersiach, pod pachami i na głowie. Zrazu zęby zacinał, potem wrzasnął przeraźliwie, snadź go już dobrze zapiekło, rany nawet pokazały się czarne; lecz chłop, lubo zgrzytał zębami, nic więcej nie powiedział, jak tylko, że nie wie, bo oni przed nim kryli swe zamiary, a teraz poszli gdzieś daleko... aż za Bystrzycę na wschód słońca... albo może są już pod Czarnohorą... ale on nie wie. — Widocznie chciał ich zamylić...

Na łbie osmolonym kędzierze do połowy spłonęły... po spopieliałych kudłach plisze zostały zczerniałe.

— Nie chce bestya powiedzieć prawdy?... Niechaj to pomoże: dalej z nim na gałąź! — krzyknął porucznik. — Ano tam, mospnie, koło tamtego!...

I wskazał ręką, gdzie trup huśtał się na gałęzi nie dawno powieszzonego chłopca, który chciał uciec z oddziału i zdradzić ich szajce Dowbozowej.

Opryszek spojrział na tamtego, i jakoś mu się zrobiło ekliwo. Choć był prawie czarnym, widać jednak było, jak pobiełał.. I odezwał się chrypliwym głosem :

— *Pomyłujcie!*... ja *chrystjanyn* przecie... Dajcie *spowidnyka!*...

— Ty *chrystjanyn*, psie?

— *Bihme!* panie...

I w samej rzeczy ujrzano krzyżyk mosiężny na piersi jego, jaki noszą huculi...

— No, przywołajcie tu jegomości!... Niechaj choć dusza ta nie idzie na zatracenie, jeśli Bóg raczy się nad grzesznikiem zmiłować...

Przyprowadzono kapelana zamku w Pniowie ¹⁾, który był tu z oddziałem, ażeby ostatni dawać posiłek umierającym.

Spojrział teraz zbrodzień takim wzrokiem, że mu się źrenice rozszerzyły, i dodał, że już teraz wszystko panom powie... niech tylko litość nad nim mają!

Zaraz się więc dowiedziano, że to chłop z Berezowa ²⁾, a już od dawna opryszek, i że liczny

¹⁾ *Pniów*, zamek Potockich nadwórniański, leżał na wzgórzu w przytykającej do miasta wsi pobliskiej.

²⁾ *Berezów niżny i wyżny*, wieś huculskie koło Kosmacza.

oddział Dowbosza tu się w tych właśnie lasach po nad zachodnimi dopływami Łomnicy znajduje...

Zakuto go, i zabrano ze sobą na przewodnika w zapadłych tych ostępach. Dwóch ludzi zaś miało iść ciągle na straży obok niego, z nabitemi samopaly, trzymając ciężkie kordelasy w rękach, gotowi każdej chwili wbić mu je w gardziel, skoroby najmniejszą okazał chętkę ucieczki lub zwiedzenia ich z drogi.

Wrócili potem i inni z wysłanych na zwiady. Zgodzono się na podstawie zebranych wiadomości, że Dowbosz nie wyszedł jeszcze z tych gór, i że nie tamte oddziały, wyprowadzone za nim wzdłuż Bystrzyc, Prutu, lecz właśnie oni będą mieli z watażką do czynienia. Nie opuści on tak prędko puszczy zapadłych po nad górną Łomnicą i nad jej dopływami; a jak wszystko wskazuje, jest on teraz zapewne w owej dziczy lasowej, z kąd ta druga wielka woda płynie z zachodu do Łomnicy.

Zebrała się zatem na naradę starszyzna, by okmyśleć obecnie plan atakowania. Zeszli się do głównego szłaśasu: pan porucznik Potockich, pan namiestnik Jabłonowskich, ataman kozaków dworskich Potockiego, pan Zaręba, pan Hińcza; przywołano prócz tego kilku leśnych i pobereźników ze stron tych, jako znających okolicę.

— Waszmoście pozwolą — ozwał się pan porucznik do zebranych, — że ja przystąpię nieja-ko do *meritum* tej sprawy. Gdyby to była sprawa ze Szwedem, Turkiem, albo innym, bijącym się *ordine militari*, tobyśmy *antiquo more* szli prosto i dalej do ataku!..

— A tak!.. to się rozumie! — odezwało się kilka głosów.

— Ale że tutaj — ciągnął dalej pan porucznik — jakby gonitwa *incarceratorum*, jacy dawno winni byli dać już gardła swoje..

— Ano co z tego, że sprawa *incarceratorum*? — przerwał pan namiestnik, — kiedy oni tu po tych debrach a puszczech zatarasowani, jakby we fortecy.. ano większej, mocniejszej, niżeli kamieniecka.. a ta ich forteca mospanie, wraz z nimi maszeruje tu to tam.. *ubique*.

— Ja też dlatego, że *ubique*, powiadam waszmościom — odezwał się znów pan porucznik — iż trzeba nam rozmyśleć, aby nie dać się dziś pokonać temu hersztowi wszelkich nieprawości.. ale utrzymać *decorum* naszego rycerstwa, i dla *securitatis* rycerstwa i rzeczypospolitej, obsaczyć rabusie, a smoka tego złapać. Trzeba zatem wysłać *partem* milicyi naszej na place, gdzieby mu odeciąć drogę, by *fuga* herszta była daremną.

— Ma rację Imci pan porucznik! — ozwał się pan Zaręba.

Inni również potakiwali.

Nareszcie zgodzono się, że główna masa wojska pociągnie wzdłuż Łomnicy w górę, aż kędy się ta łączy z tą drugą wodą większą, co ma płynąć od zachodu ¹⁾, a potem wzdłuż tej ostatniej wyruszy wojsko w głąb dalszą puszczy, gdzie podług słuchów kryć ma się *watażka*.

Lecz dokądby tu rozesłać inne oddziały, by przeciąć Dowboszowi drogę, a nie puścić go ni na zachód dalszy, ni na wschód? ani też na stronę węgierską? Tu jako znajomych miejscowości przywołano leśniczych, — a zapytany stary Trofym z Perehińska ozwał się, chyląc się do kolan:

— *Welmożni panowie* zechcą mnie posłuchać... to ja jako dworski *słuha*, co nie od wczoraj tu zachodzi i zna niejedno...

— No — przerwał mu pan Zaręba, — gdziebyś postawił tak z kilkunastu, albo i więcej?...

— Kilkunastu?... proszę łaski *welmożnoho*... to *ni na szczo!*... Tu potrzeba więcej...

I zatrzymał się nieco, licząc w duchu. Następnie dodał:

¹⁾ Jest tu mowa o *Mołodzie*.

— Ot, tak: *dwajcit piet...* ono mało... *tryjeit, sorok...* nie dadzą rady. Trzebaby, proszę łaski panów, tak... z pół *sotki...*

— Co? *pięćdziesiąt* żołnierza!...

— Ano *pięćdziesiąt...* *proszu* łaski pańskiej... i to chłop w chłopca... *Taże* oni mają *szczo naj-lipszi rusznyci a samopały tyi...* *ale* i topory a kordelasy... Te wam *widse...* ano tam... na prawo... gdzie *szumyt toj zwir z hory* do naszej wody... tam ono... w górę hen! znowu *naj* idą w las!... Ano tam... *proszu* łaski *pańskiej*, wyjdą na wysokie *Arszyce...* *taj* dalej gróniem!... Będą mieli na oku świat na lewo; na prawo...

— To ty sądzisz — rzekł pan namiestnik, — że gdy zajmą, mospanie, te *Arszyce*, to nie puszczą tamtędy *Dowboszczuka?*...

— A nie inaczej, proszę *welmożnoho* pana...

— A czy te *Arszyce* on nie obejdzie? — ozwał się pan *Zaręba*.

— A to jakby? *welmożny pane?*.. Czy to *korotka* góra?... To wam się ciągnie... hej! daleko... Nie zehodzisz jako żywo! ho! ho!... *hony* tam, *hony!* same *ino* kamienie, trawa, *taj* mech, że *zabrynesz po kolina...* . Ktoby tam stanął we *tryj-cit* nawet, *proszu panyw*, nie przepuści, żeby i dwie sotnie: bo jak ono tamtym drapać się *iz dołyny na horoju* i to lasem, a potem *kamyn-*

ciem!... To *wam* takie strome, że *czelownik* się nie utrzyma!.. Zanimby się wydrapały na gróń... oho! jużby ich wystrzelano. Oni tam, proszę łaski panów, nie pójda, skoro staną tam nasi z *puszkami*... oni zostaną się *na dolyni*.

— Dobrze mówi! -- zawołano zewsząd.... I zgodzono się wydzielić sześćdziesięciu żołnierza, co najlepiej uzbrojonego w garłacze a samopaly; dano każdemu co najlepsze kule i zapas siekańca — i tak bez zwłoki z dwoma leśnymi i jednym gazdą z Perehińska, jako znanymi *Arszyce*, wyprawiono ich na wysokie i długie to pasmo, ażeby niem postępując, odcięli *watażce* drogę na północ.

Inny zaś oddziałek, przeznaczony do odcięcia opryszków od strony przeciwnej, wydzielić postanowiono później, gdy wojsko dotrze do miejsca, gdzie się obie spływają wody.

Zaraz też nazajutrz ruszyła główna siła wojska brzegiem lewym Łomnicy, — a ponieważ tu dolina dość była wązka, posuwali się przeto po obu stronach *puszkarze*, dla zasłonięcia boków: silniejszy zaś oddział, z bronią palną i łukami, strzegł taboru koni objuczonych. Straż przednią i tylną również uformowano.

Tak posuwała się główna masa wojska ku południowi w górę Łomnicy.

Pasma po prawej ręce z krągłemi kopcami, ciemnymi najeżone świerki, pierwszy raz tu widziały szeregi zbrojne; po lewej stronie głucho, na zboczach szumiały bory, jak gdyby trwogą zdjęte. Niekiedy unosił się w górę orzeł, zdziwiony, że jakieś niewidziane tu nigdy tłумы zajmują dziś jego dziedzinę; gdzieniegdzie znów umykał *mysio* chrzęszcząc gałęziami, albo ryś śmignawszy z drzewa na drzewo, w głąb lasu uchodził czempredzej.

Tłумы wojska posuwały się coraz dalej wzdłuż lewego brzegu rzeki, która rozgłośnie, niepowstrzymana, przedzierała się z szumem i hukiem przez różne zawady, to złomy skał, to pniaki do jej łożyska stoczone.

Wkrótce dolina rozszerzyła się w dziką kotlinę, otoczoną kręgiem kopców, w półtonach barw ciemnych szarzejącą. Tutaj do Łomnicy z zachodniej strony uchodziła właśnie owa „druga wielka woda,” o której tyle mówiono, i która jeszcze wtedy nazwy nie miała ¹⁾; w kierunku zaś jej, w dalszej dziczy miał obecnie przebywać ze swoim oddziałem Dowbosz.

Gdy się zwrócili ku tej nowej wodzie, mieli po prawej ręce czarne, gąszczem lasów pokryte

¹⁾ Jest tu mowa o dzisiejszej *Osmotodzie*.

zbocza *Arszyc*; za niemi zaś pozostały za Łomnicą kopiaсте odrośla dzisiejszego *Matachowa*, połączonego z *Ihrouyszczem*.

Teraz przewodnikiem miał już być jeno zakuty opryszek, obok którego dwóch szło ludzi, ostre kordelasy trzymających w ręku, gotowych do pchnięcia na każdy podejrzany ruch spętanego. Jeśli zaś ich nie zdradzi i nie powiedzie na bezdroża, obiecaną ma wówczas amnestyę zupełną za swoje zbrodnie i jeszcze do tego nagrodę nie-małą, że już nie będzie potrzebował chodzić dzi-kim zwierzem po puszczy, jeno może rozpocząć we wsi gazdowstwo.

Jak było przedtem umówiono, mały oddział, złożony z ochotników co najśmielszych, obszytych prawie w skóry, odszedł ztąd pod przewodem lasowych ludzi w gąszcz rozciągający się między Łomnicą a tą nową wodą, w kierunku ku Węgrom, odważając się wejść na zbocza gór nieznanych ¹⁾, gdzie stopa może dotychczas nie była jeszcze człowieka. Oddział ten miał za zadanie nie puścić tędy Dowbosza, dając znać strzałami lub zapalonym ogniem, gdyby on tędy chciał umykać, w którym to razie nadesłanoby pomoc

1) Dzisiaj są to oba *Kaniusaki*, a dalej *Jajko*.

z głównego oddziału, a możeby i cała siła naciągnęła, by stoczyć z nim bój rozstrzygający.

Główna więc masa posuwała się teraz lewym brzegiem wody, biejącej z puszczy zachodnich.

Droga, jak na taką pustynię i takie od świata oddalenie, była dość jeszcze wygodną. Nawet tabor koński z żywnością mógł się dłuższym sznurkiem posuwać po tym wybrzeżu kamienistym. Bór, choć dochodził tu do rzeki na jednym to na drugim miejscu, mimo to był dość przystępnym.

Nie spodziewano się takiej drogi w zapadłej górnej głębi, gdzie się noga ludzka nigdy nie zabłąkała.

Rzeka ta zachodnia szumiała nawet weselej. Czasami z niej w jakim miejscu łeb kosmaty wychyliła wydra, niezwykłym widokiem zdziwiona. Żołnierze chcieli zaśpiewać sobie dla ochoty, niektórzy podnaszali już głosy... Lecz w tym bory stały się ciemniejszymi i wiatr w górze się poruszył... Głucho teraz szumiały drzewa. Taborowi koni już ciężiej przychodziło z jukami przedzierać się przez drzew zarośla.

Nareszcie ci, co szli przodem, w pochodzie czegoś stanęli — i cały oddział musiał się zatrzymać.

Powstał gwar... zapytywali się jedni drugich, coby to zaszło, gdy nieprzyjaciela tutaj nigdzie jeszcze nie widać? Zapewne już natrafiono na

jakieś ślady. Spętany opryszek, idący w asystencji dwóch owych z bronią, łypnął żywiej oczyma, lecz oni mu bliżej jeszcze przed oczy zaświecili żelazem.

W samej rzeczy były tu ślady krwi i trawa nawet stłoczona... Szukając zaś, nadybano buty poszarpane, a w nich resztki nogi... w niejakiej odległości leżała *puszka* rozbita, torba pogryziona i toporek nieuszkodzony. Musiały to być szczątki któregoś z wysłanych niedawno na zwiady, co się tak daleko zapuścił.

Nie była to jednakże sprawka opryszków, lecz wilków. Po zbitej zaś trawie poznać było można, że śmiałek ów niełatwo im się poddał!

Nie długo nad tem się zastanawiano; — trzeba było posuwać się dalej. Atoli im dalej zachodzili, tem trudniejszą stawała się droga, gąszcz coraz większy...

Na domiar trudności ujrzeni nowy potok, w tym samym kierunku, z zachodu płynący, mniejszy ¹⁾,

1) Jest tu mowa o dzisiejszej *Mszanie*, pobożnym potoku *Mołody*. Wojsko tu w pochodzie nie zmienia kierunku, gdyż *Mszana* biegnie z zachodu w tej samej linii, co dolna połowa *Mołody*; górna zaś część tej ostatniej ma kierunek od południa ku północy.

lecz bardziej dziki a zarosły; potok ten się łączył teraz z wodą, brzegiem której szli, ona zaś tuż zaginając się w kolano, wiodła jakby ku stronie węgierskiej.

Teraz spętany wskazał im opryszek, żeby nie szli w górę większej tej wody, lecz właśnie w kierunku nowego potoku.

Musieli mu wierzyć, gdyż opryszka nęciła dziś nagroda a nadzieja gazdowstwa. Tędy posuną się nawet równolegle z *Arszycami*, gdzie drogę właśnie odciąć miał Dowboszowi wpierw wysłany oddział.

Dalej jednak posuwać się z taborem było niepodobna... Trzeba go było tutaj zostawić z żywnością; żołnierze zatem nabrali w torby, ile tylko wlażło, resztę zaś żywności z końmi pozostawiono pod strażą, w tej samej kotlinie.

Ruszono teraz w głąb nieznaną, trzymając się potoku. Ten był cały głuchym borem zarosły. Musiano przesuwać się pomiędzy świerki. Śladu nigdzie nie było tutaj człowieka; miejscami widywano korę, zdartą na starym świerku łapą niedźwiedzia, albo też rogi jelenia, zagryzionego przez *mysia*. Droga stawała się coraz niedostępniejszą... Jak nie było Dowboszowej drużyny, tak też i nie było. Niektórzy radzili już nawrócić, i gdzie w dogodniejszym przeczekać

miejsu, albo nowe wysłać przespīgi: lecz prze-
ważyło zdanie, iż można się jeszcze dalej nieco
posunąć.

Nareszcie i ten potok opuścić im przyszło, a
posunąć się dalej drugim, jeszcze dzikszym i bar-
dziej zarosłym ¹⁾, który nawet stałego jeszcze nie
miał koryta, tylko raz w raz rozdzielał się na
boczne odnogi, sączące się między zaroślami.

Tu chciano już zawrócić, bo się pokazywały
i drzew *załomy*. Lecz niektórym się zdawało, iż
dostrzegają ślady teraz ludzkie. Temu i owemu
w oczach coś jakby zamajaczyło — i zdawało
mu się, że mignęła gdzieś w górze postać oprys-
zka. Ale czy to nie były jeno majaki?...

Spętany zaś ich zapewniał, że on pozna je tu
ślady drużyny Dowboszowej — węchem jeno
opryzka, inni bowiem poznać nie nie byli w sta-
nie.

¹⁾ Jest to dzisiejsza *Mszanka*, ostatni potok na
zachód posunięty w największej dzicy bezdrożnej.
W roku 1885 przebijał się tamtędy autor niniej-
szej powieści, zeszedłszy z *Arszyc*; siedm godzin
przebijał się przez największą dziczy, nie natrafiwszy
na najmniejszy ślad człowieka. Buszują tam tylko
wilki i niedźwiedzie, goniąc za jeleniami, których
jest tam niemała ilość.

Były teraz narady, lecz chcąc nie-chcąc trzeba było dalej postępować, bo się wkrótce na prawdę wyraźniejsze pokazywały ślady. Mieli teraz nadzieję, że natrafiwszy na oddział jego, w jednej chwili rozdziela się w mniejsze kompanie, a ze wszech stron obsaczywszy złapią i do szczętu wytłuką opryszków.

Wicher coraz gwałtowniejszy szumiał powyżej, lecz na dole mniej się uczuć dawał. Gąszcz paproci i olbrzymie łopuchy zakrywały ninie drogę. Pod gąszczem zielska chlupała woda. Weszli w jakieś mokrzyny nabrzeżne: widać, że nowy ten potok nietylko korytem niestałem rozbijał się po kamieniach, ślizkich, omszonych, ale i podszyciem leśnego zielska chciał się dalej posuwać. Co chwila przechodzić trzeba było na jedną, to na drugą jego stronę.

Wtem nieznacznie weszli w *sałomy* jakieś większe. Świerki leżały tu na świerkach, wichrami poobalane, grube, omszone, ślizkie od wilgoci, dalszy prawie już tamując pochód. Ależ czy im to raz już przychodziło przebijać się przez takie zawady? Przecież tak ciągle nie będzie?... Gdzieś to się musi skończyć! Tak przecież zawsze bywa w górach: — ten i ów zapewniał.

Atoli tym razem coś tego mozołu więcej było niż zwykle. Tu i ówdzie tak się zaplątali w gąszcz

zielska między drzew *załomy*, iż niektórzy nie mogli się już wygramolić. Powstało niejaki zamieszanie, i kierunek nawet drogi zgubiono. Ten i ów musiał się wydrapywać na kłodę sterczącą wysoko, aby wnet spuścić się na drugą, lub upaść gdzie pomiędzy inne, kości swoje rozbijając. Pod spodem zaś ciekła woda. Były to jakieś wiszary czy mokrzyny, i grzęzło się w nich powyżej kolan. Do tego jeszcze wichur stawał się teraz coraz głośniejszym, a zimno przejmowało do kości. Żołnierze, strudzeni, obdarci, popadli w taką sieć zielska, młodych świerków, kłód poobalanych, sterczących wyżej głowy, — że się tylko trudzono tą myślą, jakby ztąd się wycofać.

Wtem... nagle padły z góry strzały, i zaczęto walić kamieniami!

Powstał popłoch i zamieszanie. Z góry staczano już całe kłody świerkowe, które tocząc się waliły swym ciężarem inne drzewa. Wrzawa powstała okropna. Żołnierze zaczęli strzelać, z rusznic, samopałów, to z łuków, ale prawie na oślep. *Młodycy* byli im na karku.

Niejeden wyskoczył na kłodę, lecz w tej chwili pośliznąwszy się, zapadł w gąszcz, by już nie powstać, drugimi przytłoczony. Inny znów, zamiast we wroga, wycelował w swojego. Na innym miejscu jeden i drugi z żołnierzy nadwor-

nych, chwycony za gardło przez opryszka, stoczył się z nim w gąszcz zielska, gdzie się doduszano sposobem dzikich zwierząt. Kule leciały, toporki spadały, łby rozbijano maczugami, tratowano ciała jeszcze dygocące.

Ręka tam w górze *watażki* kierowała.

Oddział nie mógł się wydobyć z matni; wichher przygłuszał jęki ginących.

Kiedy się wreszcie ztąd wydobyto, oddział stopniał na połowę. Lecz tu i śmieiej poczynali z nimi *mołodcy*. Samego watażkę było już widać. Straszliwy, z włosem rozwianym, biegł górą, kierując drużyną swoją. Wojsko zaś, pokrwawione, poszarpane, ostatnich sił dobywało... by uciec. *Mołodcy* zaś dopadli ich z góry, bo obrotniejsi w gąszczu zarośli.

Dopiero dano im odetchnąć i ścigać przestano, gdy przybyli na wolniejsze nieco miejsce nad szerszym potokiem, — lecz wtedy już i trzeciej części ich nie było, pokaleczonych, zaledwie uszłych z życiem.

Silili się teraz dobiedz do taboru, by tu móż spocząć i nieco się pokrzepić. Lecz gdy doszli do miejsca, gdzie tabor był pozostawiony, tego już tam nie natrafili; stłoczona tylko na tem miejscu była trawa, a tu i owdzie leżały drgające jeszcze ciała. Samopas zaś, tu, to tam, kilka żało-

śnie rżących rumaków, siliło się, jakby do życia przywołać panów swoich.

Ze zgrozą poznano, że Dowbosz ubiegł tabor: zabrał żywność i konie, resztę zaś pozostawił.

Zamiast wypoczynku, trzeba było czemprowadzić tę samą drogą.

Gdy się dowlekli do doliny Łomnicy, zdybano tu dwóch niedobitków z owego oddziału, który miał się posuwać *Arszycami*, dla zagrozenia Dowboszowi odwrotu. Od nich się dowiedziano, że Dowbosz pierwaj jeszcze, przed głównem spotkaniem, zniósł tamten oddział na górach *arszyckich*, i tylko oni dwaj, niedobitki, w załomach kamieni ukryci, powstali później, a błakając się po zboczach, aż tu się dowlekli. Inni może jeszcze gdzie się przedzierają, na oślep uciekając gęstwina borów.

O trzecim zaś oddziale, który miał się posuwać borami ku stronie węgierskiej, nigdy już potem nie słyszano. Albo gdzie go wybito, lub może dzikie pożarły zwierzęta.

Z całej tej wyprawy wróciły tylko niedobitki do Perehińska.

Przestrach teraz był powszechny.

Oddziały, posuwające się jedną i drugą Bystrzycą, wkrótce powróciły, nikogo w głębi gór

nie nadybawszy, a Ponińskich oddział, ciągnący wzdłuż Prutu, odszedł do domu, dowiedziawszy się, że Dowbosz w innej zupełnie stronie.

Tak się skończyła ta wielka wyprawa na *ważkę* młodców!



VIII.

Na całym podgórzu — po wsiach, po dworach, po zamkach większych — osiadł dziś przestach i błada trwoga.

Po miastach zbierano się i o czemś radzono, — chciano nawet sypać okopy, by mienia swego bronić. Żydzi biegali, tu, to tam, z podarunkami do dworów, z pieniędzmi za pasem, — ale nie można było dojść do niczego.

Uzbrajali się zrazu nawet co odważniejsi mieszczanie; — wspomniawszy jednak na wojska dworów, wyćwiczone, broń sieczną i palną mające, w jakim one stanie do domu popowracały, — dano pokój wszystkiemu. Nieme wszystkich owładnęło zwątpienie.

Dzień każdy mógł nadejść z wieścią, że Dowbosz wyszedł z gór ze swoją drużyną... że jest w pochodzie na to, na tamto miasto. Zamki warowne nie obronią dziś mieszkańców: on niezwyciężony.

Sam król, co siedzi na stolicy, nie dałby tobie rady, watażko młodców!... Wszakęś znosił

i jego wojska koronna?... Wszyscy się ciebie boją — szlachta i lud. Ale lud ten, nawet gdy przed tobą drży ze strachu, to ciebie miłuje: podziw jego przechodzi w uwielbienie! — —

Atoli jest przecież jeden pośród tego ludu, który ciebie nie miłuje, nie wielbi, ze strachu przed grozą twojego nie drży imienia! Ten nie ma wojsk, nie siedzi w grodzie owarowanym murem a wałami, — jednak odważa się ciebie nienawidzić!... On dybie na twoją zgubę, choć wie, żeś niezwyciężony, że się ciebie, jak mówią nawet kula nie ima!... Mimo to przemyśliwa, jakby pomścić się swojej krzywdy. Boś mu uczynił krzywdę, *watażko!*... Odebrałeś mu, co jego — ukradłeś mu serce, które przed ołtarzem jemu miłość zaprzysięgło!

Stefan Dzwińczuk dowiedział się już o niewierności żony.

Chociaż w pierwszym gniewie byłby może chwycił ją za włosy, a obaliwszy, żebra kobiecie połamał, jednak na jej szczęście, a może i jego, ona się wtedy jemu nie nawinęła. Miał zatem czas przyjść do siebie i opanować gwałtowność pierwszego wybuchu. Przypomniawszy sobie, że jest nie od dzisiaj myśliwym, — a jako myśliwy nauczył się choćby przez długie lata tropić i wy-czekiwać. Natura tropiącego myśliwca wzięła dziś

góre: postanowił zatem lepiej tu się rozpatrzyć i przekonać, czy ona już na prawdę od niego odbiegła, a innemu się oddała... czy w samej rzeczy tamten już ją całkiem oczarował?... Wszak ona dotychczas wierną mu była? wszak pilnowała chaty i dobytku jego, jak *Hospod Boh* przykazał a ksiądz w cerkwi naucza? Stefan jeszcze nie chciałby wierzyć. Będzie czas niejaki uważał i śledził.

Ale do *watażki* młodeców czuł teraz podwójną nienawiść. Do krzywd dawnych, jakie herszt ten wyrządzał ludziom, przybyła i osobista krzywda gazdy.

Ona zaś, od czasu, gdy wróciła od znachorki na *Ilci*, nie miała już spokoju! Kobiętę dręczyła myśl dowiedzenia się całej prawdy: czy jej *watażkę* podbiła już ta przeklęta dziewczyna bolechowska, czy to tylko wieści były fałszywe?... A może to nie Ołeksa Dowbosz dla siebie ją porwał, tylko który z jego drużyny?... Wszak każdemu z nich wolno?...

Irena brała się do pracy codziennej, jak mogła; chciałaby dziś w dwójnasób obarczyć się robotą, byle się nie truć w sobie myślą o tem, coby zapomnieć rada. Unikała przytem częstszego zehodzenia się ze swoim gazdą; była przeto bardzo zajęta pracą różnorodną i tysiącem dro-

biazgów a kłopotów gazdowstwa kobiecego. Gaździe swojemu w oczy popatrzeć dziś nie śmiała, a gdy kiedy do niego przemówiła, była strasznie zafrasowaną. Wszak i on przecież wiedzieć musi, ile to kłopotów ma niewiasta, która się oddała gaździe i gospodarstwu?... Taka chwili nie ma spoczynku!... Wstawaj jeszcze w nocy, a kładź się, gdy już wszystko chrapie! Na dzień zaś jutrzejszy znowu czeka robota!

Tak myślała Irena, sądząc, że gazdę swojego tem omami. Ale i on jej nie czynił w tem trudności; Stefan również unikał żony. I on wiele miał do czynienia: to chodzić na *połoningę*, czy tam bydłu i owcom jego nie robią krzywdy, to z kosą najętych pilnować kosiarzy, lub nareszcie wozic na koniu *berbenice* ¹⁾ do miasta — to też i jemu nie pozostawało wiele czasu dla żony!

Irena nie chciała by dziś sama zostawać w chacie z Stefanem; on również częściej wtedy przychodził, gdy byli i inni, co się łatwo mogło przytrafić w domu, w którym tyle było czeladzi.

Stan taki stawał się dla niej coraz bardziej nieznośnym... Modliła się dzisiaj, by *Hospod Boh*

¹⁾ *Berbenice* — wążkie a podłużne faski, w których Huculi wożą bryndzę.

dał jej o *tamtym* zapomnieć, a żyć ze *swoim*, jak w cerkwi nakazują. Ona poszłaby już i na odpust na tę intencję i suszyła rok cały... lecz gdy jej na myśl przyszła *tamta*, bolechowska, czuje w sobie coś, co jej krew wszystką zatrzyma. Irena nie chciałaby watażki już dla siebie, byle i *tamta* jego nie miała.

Pewnego razu dowiedziała się, że jest w tych dniach większe nabożeństwo przed obrazem *Materji Bożej* w kołomyjskiej cerkwi. Tam też się wybrała... Może jej *Maty Boża* da jaką ulgę w jej ciężkiem utrapieniu?...



IX.

Kiedy wychodziła z domu Irena, była kotlina Kosmacka jeszcze w zmroku, tylko w przeciwległej od wschodu stronie, na wyższych szczytach. zdawało się być jaśniej. Księżyc na niebie bladł coraz bardziej, i kilka gwiazd większych mrugało konającym blaskiem, ledwo widocznym.

Wydostając się już na wzgórze, przedzielające sioło rodzinne od sąsiednich *Akreszor*, ujrzała ona teraz wierzchy gór w pełnym blasku. Choć słońca jeszcze nie było widać, ale już się jasność nie mieszała księżycowa z blaskiem świtu: słońce bowiem już weszło, tylko widać go jeszcze nie było. Głęb sam kotliny zaś jeszcze ciemniał.

Szepecząc pacierz i całując zawieszony krzyżyk mosiężny na szyi, przeszła zarośla i terasy piasna, przedzielającego Kosmacz od Akreszor. Słońce teraz wielkim świeciło kręgiem, a wszystko wróżyło dziś na pogodę: krzaki, zioła i trawa błyszczały od rosy porannej i ptaki radośnie śpiewały, ciesząc się życiem a pogodą.

I w piersiach Ireny było teraz pogodniej; zdawało się jej, że ją modlitwa pokrzepi... I tak postępowwała dalej, szepcząc pacierz.

Ludzie Akreszorscy, choć jeszcze górski to lud, czynili na niej jednak strojem i nawet nieco gwarą wrażenie obcych. Ludzie z płaszczyzn wzięli-by ich za huculów, wzrok zaś Kosmackich musi dostrzegać tu już różnicy widocznej.

Szła tak ciągle zboczami, bliżej podnóża wzgórz, po nad wsią, raz się nieco wznosząc, to znowu schodząc — i była już w Berezowie niżnym. By nie oddawać się myślom nie miłym, przechodziła czemprędzej laski, to haławy wzgórz tamtejszych, i tak doszła do tak głośnej dziś Słobody rungurskiej, bardzo jeszcze w owych czasach nieznaczej. Dalej kroczyła już doliną podłużną Łączki ¹⁾.

Smutno jej teraz było, że ninie opuszcza góry a zwolna już przed nią rozwija się świat równy, i nudny dla człowieka z gór, — tem smutniej, że już słońce chyliło się ku wieczorowi — a ona nie

¹⁾ *Łączka*, — potoczek wijący się wąską doliną. Dziś tam świat jest już inny. Doliną tego potoczka, po drodze kamienistej, raz w raz przebywając wodę, toczą się wozy ciężkie z naftą ze *Słobody rungurskiej*, tej Kalifornii wschodniej Galicyi.

miałaby jakoś odwagi pierwszą noc przemocować *na dolyni* między ludźmi nie-góorskimi. Widne z dala płaszczyzny napawały ją jakąś nieokreśloną obawą, tak samo, jak mieszkańca równin, góry i skały.

Gdy się już słońce chyliło za góry, powstała jeszcze z krótkiego wypoczynku, i szła dalej, lecz nader zwolna, raczej szukając już tylko miejsca na nocleg. Do chaty żadnej wejść nie miała ochoty. W lecie gdziebądź noc przebyć można; pod każdym drzewem gotowy jest nocleg.

Położywszy się, umęczona, długo zasnąć nie mogła. Myśli obsiadły ją, jakby chmura komarów, lecz znużona całodziennym chodem nareszcie usnęła.

I zdało jej się po chwili, że jest w Kosmaczu, w swojej chacie, że się ciągle wybiera, lecz czeka, póki gazda nie wyjdzie z domu... ale gazda jakby na złość, wychodzi, to wraca. Słońce już wysoko na niebie, a ona wyjść nie może... i nawet wyszukać niczego nie jest w stanie do drogi. Sąsiadki zaś kiwają głowami znacząco, a jedna z nich, podobna do tej starej *na Ilci*, patrzy na nią, nie spuszczając oka, nareszcie ozwała się do innych: „Ona idzie się modlić — a podchodzi gazdę swojego!...” I wszystkie patrzyły na nią złośliwie... Wtem otworzyła oczy... zaczęła się roz-

glądać... a ona tu pod drzewem, na obcym miejscu...

Tam zaś w górze tylko miesiąc wielkiem na nią patrzył okiem. Zastanowiła się nad snem swoim, przeżegnała, i do snu znowu się ułożyła... Ale już nie spać do rana przeleżała.

Powstawszy przed świtem, westchnęła, a mówiąc pacierz, puściła się dalej. Na wschodzie ciągnęły się nad ziemią długie smugi, szare, to czerwieniejące — a tam w zmerzechu widniała już Kołomyja.

Przyciągnęła nareszcie nad Prut. Tu był przewodnik koło przewozu. Siadła do łodzi — a rącze fale, prute z ukosa, zanosły ją prędko na brzeg przeciwległy.

Wszedłszy do miasta nad rankiem, zdybywała wiele ludzi. Zchodziło się dziś niemało obcych, bo w dniu tym większe będzie nabożeństwo. Choć jeszcze księży nie było, zastała tam przed cerkwią na cmentarzu siedzące niewiasty, chłopcy i drobniejszą czeladź, — czekających na początek służby bożej.

Dowiedziała się tu, że teraz właśnie będzie wielki odpust w dalekim Hoszowie, i że pod przewodnictwem jednego ze starców ztąd również odejdzie procesya. Ten zaś Hoszów ma być w pobliżu Bolechowa. Wiadomość ta ją tknę-

ła.. I zaczęła się bliżej o to wypytywać... Coś ją ciągnęło, by i ona w tem uczestniczyć mogła.. Mówiono jej, że w Hoszowie będzie odpust, sławny na świat cały, bo tam dzieją się nawet cuda. Ona tak cudu potrzebowała! Coś ją strasznie ciągnęło na ten odpust.. I postanowiła wziąć również udział. Wszak ztąd idą tam ludzie?..

Po odbytem nabożeństwie, nazajutrz, wychodziła z Kołomyi liczna procesya.. Ona też się do niej przyłączyła. —

Gdy już uszli kawał drogi, widziała tu ta kobieta z gór świat całkiem inny, równy: wszędzie ciągnęły się pola i łąki, — zboża było w bród. Dziwiła się gęstym siołom i bogactwu pól, ale za nic w świecie żyćby tutaj nie chciała. Woli swoją żętycę i placek owsiany, niżeliby tu miała jeść chleb żytni, a nawet kołaczce.

Krocząc tak z innemi, ujrzała pod wieczór zdaleka nieznane jej miasto większe, które idący z nią ludzie zwali „Stanisławowem Potockich“.

Zanim jeszcze tam doszli, w jednej z gospod przenocowano. Drugiego dnia szli dalej pątnicy i około południa zdybywano już inne procesye, dążące również na odpust hoszowski. Coraz więcej spotykano pobożnych, idących do Hoszowa.

Jechały i wózki ze szlachtą i większe karoce, otoczone pompą pańską z dworzanami na ko-

niach, a nieraz i z wozami z rojną *barwą* dworską.

Przed każdą *figurą* przydrożną zdybywano grupy modlące się i piejące *psaltery*. Teraz łączono się do wspólnej akcyi pobożnej. —

Ciągnęła Irena wraz z drugimi; niektórzy dziwili się jej pobożności, że aż z dalekiego Kosmacza tu się wybrała sama jedna.

Nareszcie minawszy już tyle wsi i miasto niejedno, przeszedłszy już niejedną rzekę, ujrzała zdała na wysokiej górze, czarnej, lasem pokrytej, wychylający się z za drzew wierzch kościoła. Tej chwili, w świętym porywie, wraz z innymi, padła na kolana, mówiąc pacierz. Dokoła też widziała klęczące i modlące się grupy na widok miejsca świętego, dokąd wszysej dziś dążą.

Im bardziej się tam zbliżała, tem więcej roiło się ludu. Lęk jakiś ją objął niewytłomaczony, gdy już była u podnóża góry, gdzie miała ulżyć swemu sumieniu.

Na stoku stromym, ocienionym drzew gałęziami, mijali ją spieszący w górę.

Był tam różny lud, ze stron przeróżnych; byli i z węgierskiej ziemi. A nie tylko samych widziano tu włościan, — niemało tam zmierzało mieszczan i szlachty. Nawet pańskie ciągnęły orszaki.

Gdy byli już na szczycie, zaszumiały drzewa, kościół i klasztor okalające. Od wschodu w głębi huczała Świeca. Na prawo, na lewo, wszędzie dokoła, pomiędzy drzewami, na tle zielonej murawy krzyżem rozciągnięte leżały postaci człowiecze, jak gdyby do ziemi przybite. Tu i ówdzie dziad siedział na ziemi, szepcząc pacierze, wyciągając ręce do przechodzących; roilo tam się również i wiele służby dworskiej. Zewsząd ścigały się kaleki, bo hoszowska *Maty Boża* cudowna, nad nimi zatem zmiłować się raczy i niejednego uleczy. Dreszcz świętego przestachu przejął do głębi Irenę: czuła to, że modlitwa na tem miejscu powinna być szczerą, — kto bowiem tu wchodzi, chcąc dostąpić odpustu, ten winien zapomnieć o wszystkich marnościach życia. Żali o n a może zapomnieć wszystkiego?... Cudowna jednak jest moc *Bohorodycy* Hoszowskiej!

Chciałaby teraz ukłęknać przed Matką Bożą, błagając o zmiłowanie dla siebie; w natłoku jednak docisnąć się nie mogła. Przed otwartymi drzwiami cerkwi stały różne tłumy. W środku zaledwie było miejsce dla znaczniejszych; tylu tam zjechało się panów z rodzinami i ze służbą.

Słońce już chyliło się na spoczynek; ludzie odchodzili, szukając na nocleg miejsca. Cele tu wszystkie zakonników pozajmywane przez zna-

czniejszych panów; długi korytarz klasztorny, po obu stronach wzdłuż ścian zajęła czempredziej służba różnoraka i uboższa szlachta, również i mieszczanie. Lud drobniejszy roztasował się na dworze — nawet miejsca pod murami już były zajęte. Ona spoczęła pod jednym z drzew. Wkrótce wszystko już spało.

Nazajutrz rano wielki był natłok około wychodzących ze stulą na ramieniu księży, — całe tłoczyły się gromady, łaknące świętej spowiedzi w dniu odpustowym. Irena zadrżała: bo i ją miejsce to wzywa, by wyjawiała, co jej cięży na sumieniu, ale ona dziś jeszcze nie przygotowana. Niezupełna spowiedź byłaby świętokradztwem — tak ją uczono w cerkwi... Objawie zatem miałaby wszystko?... Mróz ją przeszedł do szpiku! I żałowała, że tutaj przybyła. Jakto? Powróci zatem dziś gorszą, niżeli przyszła?... A czyż ona jedna jest tu grzesznicą, gdzie tylu ludzi?... Niejeden dźwiga również grzech ciężki, dlatego łaknie odpustu. — Irena popatrzyła lękliwie... ten i ów klęczy na murawie przed ojcem duchownym, szeptać mu swoje utrapienia.. Żali ona sama wróci bez spowiedzi?... Czy ksiądz jej będzie pytał o *jego* nazwisko? Dla kapłana dość będzie na wyjawieniu grzechu niewierności; imion on nie potrzebuje...

Walczyła z sobą... nareszcie pochyliła głowę i zaczęła modlić się gorąco. *Maty Boża* święta Hoszowska, da jej jaką radę!

Skończywszy, zbliżyła się do jednej z gromadek; — a gdy na nią przyszła kolej, ukłękła i wszystkie swe utrapienia, cały ciężar duszy, wyjawiała przed ojcem duchownym.

Otrzymawszy rozgrzeszenie, odeszła w pokorze ducha i poczęła odmawiać pokutę. Postanowiła teraz zapomnieć o wszystkim, zapomnieć kusiela, choćby jej to najciężej przyszło, wrócić do domu — i być teraz wierną żoną swojemu gaździe.

W tem postanowieniu zchodziła ze świętego wzgórza. Odpust się kończył i rozechodzili się ludzie na wszystkie strony, piejąc *psaltery*.

Schodząc zaś w dół, zwróciła wzrok nieznacznie na lewo... a tam w dali szarzało miasto. Chwilę przystanąła, zadumawszy się; potem prędkim krokiem szła dalej. Lecz schodząc popatrzyła się raz jeszcze... I poznała, że ją coś tam ciągnie. Ale tu śpiewy głośniejsze pobożnych doszły jej uszu, — i postanowiła wracać już prosto do domu.

Gdy jednak później głosy te coraz bardziej nikiły, przystawała chwilę, jakby jej żal było, że tak blisko jest miasto, w któremby się mogła do-

wiedzieć całkowitej dziś może prawdy... Wszak ona tutaj mogłaby dojść tego, coby ją więcej jeszcze w jej postanowieniu utwierdziło? bo może on nawet nie godzien, żeby ona dla niego duszę swą kalala?... Wmawiała w siebie, że to ją bardziej wyleczy, gdy się dowie czystej prawdy.

Nieznacznie zatem zwróciła się ku stronie, gdzie zdała mglił się jeszcze Bolechów... Czegóż ma się teraz obawiać?... Czyli nie jest dziś pod opieką *Matki* Hoszowskiej?...

Podszedłszy pod miasto — stanęła na chwilę, jak gdyby się jeszcze chciała zawrócić... Lecz tu zaczęły już pokazywać się ogrody, to chaty, do miasta należące...

Gdy zaś wstępowała już w część środkową miasta, gdzie więcej miało być domów, przed jej oczyma dwa stały tu tylko szeregi gruzów; gdzieniegdzie sterczał komin bez wierzchu, lub stał zrąb zwęglony... Tu i owdzie zaczęli już niektórzy nowe wznosić domy, widać też było białe zręby świeżo opracione; w innych miejscach ruch był niemały ciesielski i nawoływanie robotników, lecz najwięcej zdybywała wszędzie gruzu a popiołu i czarnych zwęglonych słupów, wskazujących, że tu niedawno wesoła siedziała rodzina, a dziś taż sama jest bez dachu, płacząca na swoją niedolę, przeklinająca sprawców tej niedoli.

Czasami zdybywała się z głosami, które wymawiały imię dobrze jej znane. Wtedy biła jej krew do głowy, wtedy spuszczała wzrok ku ziemi. Ale gdy zaczęto kłać i wołać Boga o pomstę na niego, wówczas uczuła gniew w sobie do onych ludzi — i strasznie ją bodło, że wszyscy klną mu, gdy ona jedna chciałaby od niego odwrócić ich złorzeczenia.

Swąd pogorzeli owiewał ją dokoła, — w łachmanach tułały się dzieci jeść wołające, a nie było, ktoby je nakarmił, gdyż zasoby poniszczone; matki chodziły zaturbowane, jak tu rok ten ciężki teraz przebyć przyjdzie?

Zdawało się jej, jak gdyby widok ten oskarżał i ją samą... jakby czad, co tu się rozchodził, przenikał ją na wskrós do głębi! Tyle widoku tak okropnego! Chciałaby ztąd odejść czempredzej.

Naraz usłyszała harmider szwargocącego żydostwa, stawiającego nowe kramy, — ci zaś wymawiając imię *watażki*, mieli na ustach równe przekleństwo. Tego już było jej za nadto! Złorzeczenia tamtych zniosłaby jeszcze, — ale od tego plugawstwa, to już za wiele! I wmówiła w siebie, iż on dobrze czynił: lepiej przecież, żeby raczej był w posiadaniu bożych skarbów taki, który drugim je rozdaje, niżeli te „*pohany*

plugawe“. W tej chwili wydał on się jej wspaniałym!

Lecz gdy widziała i takich, co jeszcze biadali za dziećmi, w popłochu wówczas popalonemi, — gdy nareszcie pokazano jej matkę, co od czasu napadu tego straciła córkę, która była dla niej okiem w głowie: — zaczęła się nieco ciekawiej rozpytywać...

Tu sama nie wiedziała, czemu tak uważnie teraz przypatruje się postaci tej matki... a ujrawszy ją, choć w niemłodym już wieku, lecz niezwykłą jeszcze okazującą na wiek swój urodę — uczuła pewną ku niej niechęć. Gdy zaś jej powiedziano, że córka tej matki było to cudo prawdziwe siły a urody, przez co musiała wpaść w oko *watażce*, który drugiej takiej nie znajdzie: — zadrżała w tej chwili — i wszystko, o czem chciałyby dziś zapomnieć, stanęło jej naraz w oczach.

Kobiecina, pokazująca Irenie nieszczęśliwą sąsiadkę, której córkę porwali opryszki, rada była, iż może z kim gwarzyć i opowiadać o różnych nieszczęściach swojego miasta. Gdy zaś dostrzegła że obca także udział bierze niemały w doli tej nieszczęśliwej matki, ciągnęła dalej — a Irena słuchała, mileząc. Nareszcie odezwała się:

— Ej, co wy mówicie, matko?... Kto ci to wie, żali to prawda!... Może tak tylko ludzie gadają?.. ona zaś *donika* sama wrócić radaby do swojej *matery*?..

— A! ba... czy tylko?... Żali ja sobie z palca wyssała?... Wiedzą tu wszystko. Jest przecież człowiek w mieście, który jeździ *wam* po świecie za kupnem... Gdzie bo on nie bywał!... Raz w raz to do Kałusza, do Sołotwiny, to do Tyśmienicy.. Był-ci nawet... aż gdzieś na granicy.. Mówią, iż tam jest miasto, co je zowią Kuty... To gdzieś już być ma koło Tureccyzny.. albo może zaczynają się tam Tatarzy?... Czy ja-ci już wiem!... Ale tam bo siedzą... *wormiany*.. Ja ich nigdy nie widziała... ale powiadają, że to same *bohacze*... U nich *hroszej* więcej, niż u nas grochu.

I byłaby baba zesłała na Ormian, o których słyszeć nie była ciekawą Irena, nieznacznie więc skierowała gadatliwą kobiecinę, dokąd jej trzeba było. Ale gdy stara znów do swojego wróciła tematu, ozwała się Irena:

— *Ta*.. i czego-to ma się tak smucić... ta biedna *maty*?... Człowiek ten przecież nie był w drużynie Dowboszowej?... to i nie wie?..

— *Ta*, pewnie, że ci on tam nie był!... Ale on zawsze rad wiedzieć, gdzie się obraca ten

straszny herszt... uchwaj nas przed nim, Matko Hoszowska!... ano w których on stronach; bo ten człowiek handluje, a zawsze ma ze sobą *hroszi*..

— To on unika — rzekła Irena — zejścia się z nimi?... Przecież nie widział nigdy Dowbosza?

— Pewnie, że nie widział jego, ale on widział niedawno człowieka z jego bandy.

— Z jego bandy?... z bandy Dowboszowej?...

— A! tak... W Kałuszu złapali jednego z bandy Dowboszowej, co wracał do domu... Myślano zawsze, że to gazda, a to ci był opryszek...

— I ten może mówił... o tej bandzie?...

Tu krew jej podeszła do lica.

— A tak!... On ci niejedno mówił...

— I o tej dziewczynie... gadał... jej *matery*?—
ozwała się drżąc nieznacznie Irena.

— A! widzisz, że tak!... On ją na własne oczy widział... tak, jak ja was tu widzę... Z początku bała się *wam* tego Dowbosza, bo on ma być bardzo straszny... ba! ale i chłop rosły, a taki, choć zbój, podoba się dziewczę... Ona takie rzuciła nań czary, iż on wszystkie inne opuścił. I ktoby był o tej *Mełance* pomyślał!.. Prawda, że dziewczka jako *jałyna*... ale żeby aż w bandzie Dowboszowej znalazła kochanka, i to samego

Dowbosza... tegoby ja nigdy nie myślała!... No, ale kiedy tak się stało, to już płacz, stara *maty!*... Ojciec zaś wyrzekł się córki... Na co mu kochanki takiego smoka! chroń nas panie Boże od tego człowieka!

I tu się przeżegnała.

Irena, słysząc to, ledwo wytrzymać mogła. W tej chwili czuła, jak jej krew z serca uchodzi — a dreszcz ją zaczyna przejmować; czuła teraz nienawiść do tej właśnie dziewczyny i nienawiść do watażki! Byłaby szczęśliwą, gdyby się dziś mogła pomścić na nich obojgu! —

I wychodziła z miasta pełna goryczy a żalu. Czuła to dobrze, że nie tak łatwo przyjdzie jej o nim zapomnieć. Nie, ona go zapomnieć dziś już nie może!... Gdyby się nie był zwrócił ku drugiej, wtedy możeby się przemogła... Ale tak, jak się stało — ona tego przenieść nie może! W tej chwili widziała siebie wzgardzoną — podeptaną... a za to, iż tyle dłań poświęciła! Zazdrość ku rywalce krew jej wszystką zatrula.

Jak szalona wracała do domu; *złe* znowu górę nad nią wzięło.

X.

Powróciwszy do domu, ust nie otworzyła; po-
glądała jeno ku ziemi ponuro. Wzięła się jednak
do roboty, zwykłej, codziennej, około gazdow-
stwa. Stefan również przyjął ją milcząco, i o nie
nie pytał. Nie pytał nawet, dlaczego tyle dni
w nie tak bardzo odległej ztąd Kołomyi bawiła.
Widocznie dziś oboje unikali pierwszego słowa.
Chwilami pozierał on na nią z pod oka, lecz
czempędzej się odwracał.

Ona wiedziała dobrze, że stosunek między
niemi obojgiem dzisiaj inny, ale wszak to już
tak od dawna. Czyli on się czego domyśla?
czy to tylko kłopoty jego gospodarskie chmurzą
mu czoło?...

Sąsiadki jej się pytały, czemu tak długo za
domem bawiła?... lecz ona je czem mogła zby-
wała, odpowiadając niechętnie jednym słówkiem.
Nie chciała więcej o tem mówić. Kobiety ruszały
znacząco głowami.

Chwilowo, gdy nikt nie uważał, stawała, wbiw-
szy wzrok przed siebie, nie nie widząc, nie sły-

sząc. Gubiła się we własnych myślach. Gazda zdaleka nieraz to spostrzegł, lecz odchodził, nie mówiąc.

Razu pewnego, po dłuższem milczeniu, gdy już niejaki czas sami byli w chacie, a ona, zajęta koło ognia, nie mogła w tej chwili odejść — popatrzył Stefan na nią z pod oka i z wolna zagadnął:

— I jak ty znalazła ten Hoszów?... Tam dużo było *świaszczenników*?...

Ona na niego spojrziała i mróz ją przeszedł. A on dodał jeszcze:

— W tym... dalekim... Hoszowie przecież wielki był odpust?...

— Zkąd ty to wiesz?...

Stefan nic na to nie odpowiedział — jeno spokojnie zapytał jeszcze:

— Ano, ludzie tam się nie spowiadali, jak na innych odpustach?

— *Ta*, czemu nie!... *Świaszczenników* było dosyć.

— I cóż tobie *świaszczennik* powiedział?

— Na co? — półgłosem wycedziła.

— Wszakżeś do Hoszowa tam, tak daleko chodziła... *ta* na odpust przecież?... Ano, może to gdzieindziej?

— Ty wiesz przecie?...

— Nie mi nie mówiłaś...

— Boś się mnie nie pytał.

— A tyby mi powiedziała, gdybym się zapytał? — rzekł z przekąsem.

Tu nastąpiła chwila milczenia. Potem odezwała się Irena:

— Do Hoszowa... chodzą z bardzo dalekich stron ludzie.

— *Ta* wiem... bo ty aż z Kosmacza tam zaszła — dodał Stefan.

— Tam byli z dalszych jeszcze stron.

Tu Stefan zapytał się czempredzej:

— Czy oni i Bolechów odwiedzili?

— *Ta* zkađ mnie to wiedzieć? — mruknęła Irena.

— Ano, któż powie, jeśli nie *taki*, co sam tam był?...

— Ja nie rozumiem ciebie...

I tu była cała blada.

— Ale zrozumiesz, gdy ci powiem, że byli, co cię tam widzieli. Bo Kołomyjsey i tam chodzą.

— Ty byłeś w Kołomyi?.. — Tu wpatrzyła się w niego.

— Jeśli ty była aż w Bolechowie, czemu ja nie miał być w Kołomyi?

Ona zadrżała. Mróz przejął ją do kości.

— Prawda, że silny, straszny musi być człowiek, który całe miasto tak-ci *oprawił*?... Dla niego już można porzucić tego, który nie posiada tylu skarbów, pościąganych po ludziach?

Ona była blada — on miał w oku krwawą grozę. Milczeli.

W powietrzu zdawała się przelatywać jakaś ponura teraz godzina.

Po niejakiem czasie zerwała się nagle Irena w rozpacz: — Zabij mnie, gazdo!

— Były chwile, żem ci chciał żebra połamać, ale dałem ci pokój... Co mi po kobiecie, która oddała się drugiemu!

Ona się wstrzęsła. On dodał:

— *Ta*, niechaj ci idzie za nim!... pomyślałem... On taki silny, taki urodziwy!... tylu ma młodców!... A Stefan Dzwińczuk czyż mierzy garncami korale? Ustroi-ż kobietę w perły pozdzierane z *bind nechrestów*?...

Słyszając to patrzyła Irena ku ziemi. Wreszcie chwając się, zawołała:

— Zabij mnie, a nie pastw się! Czy ja to... dziś już jego!

— Tak więc z tobą teraz stoi?... Dlatego ten twój smutek?... Ty *tużysz* za nim? Ciebie opuścił, bo musi mieć inną?...

— Co mnie obchodzi, czy ma... czy nie ma!...
Ja o nim nie myślę!

— Chciałabyś się do mnie nawrócić?... ale, *po-*
hana — i tu zmienił głos — ty myślisz, że ja,
gazda prosty, mam to przyjmować, co on od-
rzucił?... On ciebie nogą kopnął, a ja miałbym
dzisiaj cię przyhołubić!...

Na podobne słowa krew błysła w oku ko-
biety.

— Ty nie mów tego, bom ja go nie widziała
teraz!... Czemu mnie gnębisz? Co ja temu win-
na, że on na mnie rzucił czary!... Ale ja się...
dzisiaj... na nim...

Tu dokończyć nie mogła, jeno zgrzytnęła zę-
bami.

— Ty? kobieta?... A czego miałabyś mścić
się na nim? — rzekł chytrze. — Czy on nie
watażka?... Czy dla niego nie są wszystkie ko-
biety nasze?... Ma on z nimi czynić korowo-
dy?... Ho! ho! dajcie sobie z tem pokój!... On
miasta i dwory zatrważa sobą, a miałby z wami
czynić korowody! Rzuca jedną, to bierze drugą.
Takby każdy czynił na jego miejscu.

— Ale i kobieta... zemścić się może.. na nim!...
I na niej! — dodała ciszej, jak gdyby sama do
siebie.

— Tobie... mścić się? .. Zapomnij o zemście!. Bo co ty mu zrobisz? Cha, cha, cha! — zaśmiał się, koso na nią patrząc, aż po niej ciarki przeszły. — Dajmy temu pokój!... On cię podeptał.. jak już niejednę.. i rzucił, skoro mu się tak podobało!

— Ale i ja mam sposób na niego!...

— A cóż mu zrobisz?... On drwi ze wszystkiego!... Jego kula się nie ima!...

I tu zbliżył się nieco, a wzrok miał w tej chwili pytający.

— Jego — rzekła — kula się nie ima... kula taka, jak na was.... Ale jeżeli zechcę... kupię... odleję srebrną...

On kiwał głową niedowierzająco. Szyderstwo miał w oku, ale niecierpliwość wyczekiwania w duszy...

Ona dodała czempredzej w gniewie:

— I dodam *proskurnej* pszenicy.. tak, jak mówił... ziaren dwanaście, nad którymi *świaszczennik* — —

— Dwanaście *służb bożych* odmówiły — dodał czempredzej z chciwością.

— A ty zkąd to wiesz?

— Bo to wiedzą i inni.

Irena nie poznała, że Stefan w tej chwili tajemnicę wyłowił.

Oj źle! źle to uczyniłeś, *watażko* Hucułów, żeś wykrył swoją tajemnicę przed kobietą!

Ona też się i sama zatrwożyła, — ale gdy gazda na pozór uspokoił się i udał zupełną obojętność, dała podejść się nierozważna. Widać, że Stefan Dzwinińczuk nie darmo nawykł od młodości cierpliwie tropić zwierza, — namiętny zaś człowiek jest krwi chciwy, a nieogłędny, jako zwierz leśny. Niedźwiedzia i dzika nieinaczej się bierze: gdy się zwierz rozzłości i jeden *samurkuci*, a drugiemu piana zacznie ciec z pyska, to wtedy na oślep lecą na żelazo silnej a pewnej dłoni. Stefan miał dłoń pewną. I tym razem go nie omyli.

XI.

Jakaś posepność dziwna, złowroga, osiadła w całym domostwie naszych gazdów. Zdawało się, jak gdyby to była chwila przed burzą. Ptactwo złowróbne skrzeczało dokoła, jakby chciało przed czemś ostrzegać tu mieszkańców. Gazda chodził zamyślony, Irena zaś miała złe jakieś przecucie i niepokój w duszy.

Następnie dni parę nie było w domu gospodarza. Chodził do miasta i szukał czegoś po żydach. Chodził nawet do dworu w Łuczy, lecz tu go z niczem odprawiono. Wrócił się zatem do żydów, — i u jednego z nich znalazł srebro, które tenże posiadał z różnych, bądź zastawnych, bądź raczej złupionych towarów.

Gazda krył się z tem wszystkim. Ale gdy w chacie nikogo nie było, gdy zapory we drzwiach mocno zasunął, wtedy coś zbijał do kupy przysposabiając i przymierzał do lufy swojej *puszki*.

Chodził następnie do księży, — i tam dzień po dniu odprawiano *służbę bożą*. Były tam i ziarna *proskurnej* pszenicy, co ma cudowną moc w wielu razach. Gazda widocznie z czemś się nosił ważnem.

Irena widywała go, gdy wracał do domu, lecz nie mogła nic z twarzy jego poznać, — zresztą Stefan nie szedł sypiać do chaty, jeno odchodził dla spoczynku na bróg siana. Ona rozumiała, że on się na nią patrzeć nie może. Jej zaś było tak marnie na duszy, iż nie wiedziała, co z sobą począć. Chodziła już nieraz na brzeg wysoki po nad wyrwą, gdzie ciemniejsza wirowała woda. i wpatrywała się w nią godzinami...

Rozchodziły się wieści, że Dowbosz zjawił się znowu w tych stronach; były nawet pewne tego oznaki, wracali do chat ludzie, wiatrem wysmągani, opaleni, których dawno już nie widywano.

Irena coraz zdawała się być niespokojniejszą. Zachowanie męża niepokoiło ją; — wolałaby, aby od razu męki jej zakończył, niżeli wyczekiwać czegoś, o czem nie wie.

Dnia jednego, gdy już pod noc wszystko się uciszyło, i wszystkie po chatach ognie pogasły, gdy sen wszystkich objął.. a tylko Irena nie mogła zasnąć, chodziła po sadzie między drzewami,

ciężko jeno oddychając — usłyszała, jak gdyby ktoś przez *worynie* przelaził... W samej rzeczy coś zatrzeszczało... Krew się w niej zatrzymała w obiegu.

W tej chwili stanął *on* koło niej. Wstrząsła się gwałtownie całym ciałem, lecz nie wydała okrzyku, nie ruszyła się z miejsca.

— Ano, ty mnie dzisiaj nie poznajesz?

Irena patrzyła, lecz nie mogła słowa wymówić.

— Nie spodziewałaś się mnie, *mołodyco*?... Czy ty o mnie już *zabyła*?

— Ja o tobie? — odezwała się wreszcie blada, drżąc cała. — Ja o tobie nie *zabyła*.. Ale ty... ty... o mnie *zabył*!

— A to czemu, kobieto?

— *Tu* czemu? — I tu spojrzała posępnie: — Ano czemu? ty mówisz!.. — i dodała blednąc bardziej jeszcze: — Bo masz dziś... inną... Ach!

I własnej myśli się przeraziła.

— Cha, cha, *durna hołowa*!.. Śmieję się sama z siebie!..

— Dlaczego ja mam śmiać się?..

Patrzyła w niego jakby na pół we śnie.

— Bo czy ja jednej *tamtęj* miałbym się już zaprzedać?... Czy ja z nią ślub brał?.. Nas *świastczennik* przecież nie wiązał, *mołodyco*!.. Porwałem, bo mi się podobała... Młoda i silna.. Świe-

że dziewczę! A ty wiesz, że Dowbosz takie lubi... Czy to jego pierwsza?... Bo czy on chłop, jak wasi w siole? On... *watażka!* Dla niego wszystko stoi otworem. Ale ty moja najpierwsza!... Ja o tobie nigdy nie *zabył!*!

Ona nie nie mówiła — tylko się cała trzęsła.

— To ci Stefan już dzisiaj tak miły, żeś o mnie *zabyła?*... Ha! skoro tak... ja ci teraz nie winien. Ale dla chłopca przecież nie rzucisz *watażki*, który przewodzi nad *mołodcami?*...

Jej się łzy z oczu puściły... chciała je wstrzymać, ale nie mogła.

— Et, durna!... po co tu płaczu?

I chciał ją objąć, lecz ona się uchyliła.

— Czy ty zdurniała?... Nie widzisz, że to *watażka* przed tobą stoi, który nie nauczył się prosić?... On rozkazuje *mołodcom!* Gdy się pojawi, drżą miasta i dwory... i dwory panów! Rozumiesz, kobieto?... A ty tu czynisz takie korowody?... Toż on ciebie gotów teraz na prawdę rzucić!

-- Ty mnie już przecież rzucił!...

— Et, prawisz!...

— Ty jesteś taki jako pierwej?...

— *Taż* ty moja krasawica... Ja zawżdy o tobie myślał.

Tu cisnął takim spojrzeniem, że nią do głębi wstrzęsło. Czują, iż ją siła jakaś *zła* obejmuje.

której oprzeć się nie zdoła; on jej zaś nie dał przyjść do przytomności.

I była już całkiem w jego mocy.

— Ale... ach! co ty czynisz!... Tutaj tobie niebezpieczno...

— Dlaczego, Ireno?

— Ja nie wiem... ale... ty tutaj... Ty tutaj!.. Mogą cię zobaczyć!..

— Mnie zobaczyć?... I co z tego?... Ja Dowbosz!..

— Ależ... lepiej... żeby ty tu nie był!..

— Jaby się kryć miał?... a przed kim?... No, niechajby w waszym Kosmaczu podnieśli się na mnie wszyscy, moi młodcy zrównaliby całe to gniazdo z ziemią!.. Cha, cha, cha... z ziemią!.. Wy wiecie, że Dowbosz nie żartuje! Poznał go Bolechów, znał go i Kałusz... *ta* i wasz Pistyń!.. Przyjdą jeszcze czasy, że i te dwory w Nadwórnem, w Pistyniu, *taj* ten z trzema swemi okopami kosowski, przemienią się w kupę kamieni... Klnę się, że im nie daruję!

Gdy to mówił, ona drżała... Chciałaby go wstrzymać, lecz niepodobna.

— Ale ty mnie kochasz jeszcze, *mołodyco*?...

I tu błysnął czarnem okiem, spojrzaniem, które ją do głębi przejęło.

— No, nie nie odpowiadasz?

— *Hospod Boh*.. mnie za to kochanie skarże!

— Et, durna!... *Hospod Boh*, gdyby nie chciał tego, nie dałby mnie był takiej siły a urody! *Hospod Boh* nie pozwoliłby Dowboszowi karać po dołach miasta ich i dwory!.. Toć jego wola!.. Ja przecież *chrystjanyn* dobry.. Patrz! u mnie przecież *chrest* na piersiach!..

Tu jej pokazał krzyżyk z pod swojej *soroczki*:
I dodał:

— Widzisz! pod tym znakiem ja biję innych i palę ich osady!.. *Hospod Boh* mnie to oddaje skarby wasze.. one do mnie należą!

I zaczął się do niej przymilać. Potem się odezwał

— I ty także mnie wskażesz, gdzie one?..

— Czego ty chcesz odemnie?..

— Czego ja chcę?... Oto mnie pokażesz, gdzie chowa on *tyi biki*, a może i *żowti*?.. Ty mi je sama przyniesiesz... a jeśli boisz się, toć pokażesz... a ja już ze *swoimi* po nie przyjdę.

I znowu się przymilił słodkim umizgiem.

— Ty chcesz... jego mienia?

— Albo co?... Zali *Hospod Boh* mnie na to nie trzyma?... A czy ja nie wydał teraz nie mało *hroszej* na ołów. na *siekaniec*?... Nam bowiem tamto wyszło z tymi hajdukami Potockich, Jabłonowskich!

— Ty chcesz jego *hroszej*? ..

I tu odstępowała, blednąc.

— A z czego żyć mają moi *mołodcy*?

— Ah! on nie dla mnie dziś przybył! —
mruknęła ponuro sama do siebie.

— *Ta*, czemu odstępujesz?

W tej chwili zdawało się jej, że coś mignęło
za drzewami. Instynktowo chwyciła go za ra-
mię, chcąc na bok zwrócić. Szepnęła:

— Uchodź!.. oj, uchodź!..

I była w wielkiej obawie.

— *Ta* dobrze, kiedy się boisz... ale powiedz
mi pierwej, gdzie on je chowa?

Ona znów ręce opuściła. Pomyślała:

— Ha! on mnie zdradza... a jabym go miała
teraz ocalić?... Niechaj się co chce stanie!..

I patrzyła ponuro. Krwią nabiegły jej lica
w tej chwili.

On coraz natarczywiej żądał od niej, by mu
wskazała kryjówkę... a ona coraz bardziej posep-
niała... a w tej posepności było coś stra-
znego.

Wtem zoczyła lufę między gałęziami... I chwy-
ciła go za ramię nieprzytomna — chcąc go
w bok odepchnąć... Lecz już było za późno...

Strzał padł... *watażka* powalił się na ziemię.

— Ty... mnie... zdradziła... ty przekłeta!..

I silił się powstać jeszcze, chwytając rękami..
lecz upadł znowu.

— Ha, kula moja poświęcona!... *dwanajciet
służb bożych* odprawiono nad nią — zagrzemiał
głos mściwy, dobrze im obojgu znany..

Ona stała przerażona, w osłupieniu. Na widok mę-
ża dopiero czemprowadziej odbiegła, jakoby *złem* gnana.

Gazda z początku odskoczył na widok poru-
szającego się jeszcze *watażki*, potem wznosił *pu-
szkę* — chcąc go kolbą dobić..

— Stój!... Tyby, chłopie... śmiał?... Dowbo-
sza?... *Ta* prawda! gdy zwierz silny leży powa-
lon... lada pies go szarpie..

Gazda wstrzymał się na te słowa.

— *Ta* co z tego! — ciągnął już słabym gło-
sem konający. — Raz człowiekowi przychodzi
umierać... Ha, żyłem... i dość się wam dałem we
znaki. *Ta*, dość się nażyłem. Znają mnie wasze
chaty i wasze dwory..

— Ale teraz już koniec temu — rzekł gazda.

— Ach! przywołaj jeszcze moich młodców—
odezwał się słabszym już głosem Dowbosz.— Nie-
chaj się z nimi *watażka* ich pożegna... *taj* każe, co
mają robić... Nie bój się!... ja im dam rozkaz..
żeby ci nie czynili..

— Nie potrzeba! Skoro ciebie nie będzie..
ich bać się nie potrzeba.

— Nie mów tak!...

I tu oczy mu się mroczyły... Lecz jeszcze rzucał rękami, jakby chciał chwycić powietrze.

— Zadrzyj jeno nogi ty: oni wnet się sami rozlecą!

Popatrzył — lecz tamten już leżał martwy.

Tymczasem na strzał wybiegło z poblizkich chat kilkoro ludzi. I wnet się zbliżyły wartowniki nocne.

On spojrzął i zapytał o Irenę, a tu jeden z wartowników odpowiedział, że tam w wyrwę głęboką coś chlupnęło, jakby człowiek skoczył do wody....

— Ha! taka już była jej dola! — odezwał się z ponurym fatalizmem.

Ruch się zrobił we wsi — zaczęto wstawać. Ztąd i zowąd zbiegali się ludzie.

Stefan Dzwińczuk mówił prawdę: — mieszkańcy, widząc leżącego trupem *watażkę*, śmieiej już i bez bojaźni zbroili się na *mołodców*. Głowy dziś nie ma, — ciało, choćby i potężne, bez niej się nie ostoi.

* * *



Dziewczyua zaś Bolechowska, gdy się o śmierci *watażki* dowiedziała, wzgardziwszy każdym innym z *mołod ów*, którzy się do niej zalecali, uszła pewnej nocy z ich obozowiska a błakając się czas niejaki, wróciła do domu, jako skruszona grzesznica. Ojciec jej przyjąć zrazu nie chciał, lecz matka go ubłagała — i dziewczyna weszła w dom rodzicielski, aby dźwigać ciężar pokutnicy.

Gdy się wieść rozeszła po siołach, po miastach, że straszny *watażka* nie żyje — nabrano wszędzie otuchy i zaczęto się zbroić.

Powoli rozbiegła się drużyna Dowboszowa, resztę do szczętu wybito.

Dowbosz zaś przeszedł w pieśni i podania ludowe.

— — — — —
KONIEC.
— — — — —



PRZYPISEK.

Smierć Dowbosza. opowiedziana w tej powieści, nie jest jeno według podania ludu i jego fantazyi skreślona, ona jest faktem rzeczywistym. Po dziś dzień w Kosmaczu pra-prawnuki Stefana Dzwińczuka przechowują dokument, wydany przez Jabłonowskiego ich pradziadowi w nagrodę za zabicie Dowbosza. Tam stoi wyraźnie: Józef Aleks. z Prusów Xąże na Jabłonowie i t. d. Jabłonowski, wojewoda i t. d. Wiadomo czynię, komu o tem wiedzieć będzie należało..... iż ponieważ Stefan Dzwińczuk Podany mój Dziedziczny ze wsi Kosmacza, Ołexę Dobuszcuka, Herszta wszystkich niecnót y zbrodni, smoka w górach Zapruckich wychowanego a życie y substancyą obywatelów Pokuckich pożerającego, zniósł y zgładził z tego świata... zaczym za ten dowód wierności y Życzliwości tegoż Stefana Dzwińczuka..... uwalniam..... od wszelkich Danin, Podatków... (Na którego nawet Herszta Opryszkow wojsko koronne y Ludzie Nadworni Imci Potockich chodzili y uporać go nie mogli do Dwóch y półtrzecia Tysiąca w Liczbie), które to prawo dla lepszej wiary przy zwykłej Pieczęci mojej Ręką moją podpisuję. — Datum w Jabłonowie die 20 Obrisi. A. 1755.
J. X. z Prusów Jabłonowski m. p.

Tego samego autora:

Nowele i obrazy z życia ludu huculskiego. Opisy gór i wycieczki w góry huculskie.

— **Ucieczka.** Nowela z życia hucułów nad górnym Prutem. (W „Ognisku Domowem“ Lwów, 1883 i 1884).

— **Skarb w borze.** Nowela z życia hucułów nad Bystrzycą czarną. (W „Kuryerze lwowskim“ 1884)

— **Roman, syn Semenów.** Nowela huculska z okolic nad Bystrzycą złotą. („Gaz. Narodowa“ Lwów, 1885).

— **U stóp Czarnohory.** Nowela z życia hucułów w głębokich górach nad górnym Czeremoszem. („N. Reforma“ Kraków, 1885. — „Wiek“ Warszawa, 1885).

— **Taras z Worochty.** Nowela z życia hucułów w głębokich górach nad górnym Prutem i wertepami Czeremoszów. („N. Reforma“ 1886. — „Ateneum“ Warszawa, 1885. „Nowa biblioteka rodzinna“ Kraków, 1890).

— **Ostap z Perehińska.** Obraz z okolic nad górną Łomnicą. („N. Reforma“ 1887. — „Biesiada“ Warszawa, 1889. W tem ostatniem piśmie pod nazwą: **Dusza zatracona**).

— **Trofym Ołenyn.** Obraz z okolic nad górnym Czeremoszem. („Gaz. lwowska“ 1887. — „Nowa biblioteka rodzinna“ Kraków, 1890).

— **Po latach.** Nowela huculska z pogranicza Bukowiny. („Gaz. Narodowa“ Lwów, 1888).

— **Praszczur Czemeatów.** Obraz z życia ludu huculskiego z przeszłego wieku. („Świat“ Kraków, 1889. — Kraków, 1889. — Przemyśl, 1890).

— **Nad Czeremoszem.** Nowele huculskie. (Taras z Worochty. Trofym Ołenyn i Ostap z Perehińska). Kraków, 1891. (243 stron).



— W Karpatach. Ze Stanisławowa na Nadwórnę, Delatyn w górską dolinę P. utu, rozwór Prutca, aż na szczyt Ledeskuła. („Gaz. lwowska“ 1886).

— Wycieczka z Jasienia w głębokie Karpaty nad górnemi dopływami Łomnicy. („Ognisko domowe“. Lwów 1886).

— W Karpatach nad górną Łomnicą. Na Ihrowyszcze, Wysoką, Grofę itd. (Dod. lit. „Kuryera lwowskiego“ 1887).

— Wycieczka na szczyty czarnohorskie. Z Kołomyi przez Słobodę rungurską, Kosmacz, Grehit, rozwór Ilei, dolinę górnego Czeremoszu, Jawornik, — na szczyty czarnohorskie: Pop Iwan, Dżembronia, Szpyci, Dancerz, Howerła. (Dod. lit. „Kuryera lwowskiego“ 1888. — Toż samo w „Wędrowcu“. Warszawa 1889).



WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH

BIBLIOTEKA

251486

Biblioteka WSP Kielce



0047730